

Żydzi, Polska, Solidarność¹

1. Narodziny Solidarności, czyli antysemityzm niemożliwy

MICHEL WIEWIORKA

Zrozumieć Solidarność znaczy przede wszystkim uchwycić zbliżanie się do siebie trzech odmiennych ruchów i ich ostateczne spotkanie w sierpniu 1980 roku, w Gdańsku i Szczecinie, a później też w całej Polsce. Solidarność łączy w sobie akcję robotniczą i związkową, narodowe samopotwierdzenie, a także polityczną walkę o uzyskanie demokratycznych praw i swobód.

Te trzy elementy długo funkcjonowały, nie zdając sobie nawzajem sprawy z własnego istnienia: każdy z nich miał swoją odrębną historię i własny rytm, a walki inicjowane przez nie w przeszłości nie zawsze pokrywały się ze sobą.

Robotnicze powstania w 1956 roku w Poznaniu, w 1970 nad Bałtykiem oraz w 1976 w Ursusie i Radomiu to kulminacyjne momenty akcji robotniczej, w której począwszy od 1970 roku, domagano się wolnych związków zawodowych.

Ruch studencki 1968 roku i późniejsza permanentna mobilizacja intelektualnej i demokratycznej opozycji wobec reżimu ukazują z kolei istnienie woli politycznego otwarcia, która początkowo wzbudzała jedynie bardzo słaby oddźwięk w środowisku robotniczym.

Wreszcie Kościół, opierając się stalinowskiemu reżimowi Bieruta oraz poststalinowskiemu systemowi Gomułki i Gierka, zapewnia ciągłość upartej afirmacji tego, co narodowe, której historyczną figurą staje się kardynał Wyszyński.

Począwszy od 1976 roku, mamy do czynienia z przyspieszonym łączeniem się tych trzech wymiarów działania. Gierek ustanawia związki ekonomiczne z Zachodem i akceptuje polityczne ustępstwa w zakresie swobód, nadzór nad demokratyczną opozycją zostaje poluzowany, trudności ekonomiczne podgrzewają niezadowolenie wśród robotników, a narodowa świadomość zyskuje bardzo wiele, kiedy kardynał Wojtyła zostaje papieżem Janem Pawłem II.

1. Fragmenty książki *Les Juifs, la Pologne et Solidarność*, Denoël, Paris 1984. Przekład obejmuje s. 27–28, 34–65, 161–174. Drobne skróty pochodzą od tłumacza.

Po 1968 roku demokratyczna opozycja zrywa z rewizjonizmem. Nie wierzy już w możliwość zmian odgórnych, wychodzących z wnętrza systemu, i orientuje się w otwarty sposób na społeczną mobilizację. Nie ma już mowy o myśleniu w kategoriach politycznej awangardy ani o rewizji systemu, trzeba wspomagać społeczne siły, ruch robotniczy, a nawet pojedynczych robotników. Taki jest duch KOR-u, a później także innych, mniej znanych inicjatyw, które począwszy od 1976 roku, tworzą zwornik między opozycją a światem robotniczym, strasmatyzowanym przez krwawe bunty z lat ubiegłych i usiłującym wypracować nowe formy działania.

Zastanawianie się nad tym, czy wewnątrz opozycji demokratycznej występują najmniejsze bodaj ślady antysemitkiej nienawiści, jest absurdalne i obraźliwe dla tych wszystkich Żydów i nie-Żydów, przeciw którym skierowany był atak władzy w 1968 roku. Katolicka albo niereligijna (a zatem ostrożna wobec Kościoła, który długo traktowała jako konserwatywny i zacofany) opozycja jak nikt inny potrafi w antysemityzmie rozpoznać awersję nie tylko wobec Żydów, ale i wobec indywidualnej wolności czy swobody wyrazu.

Inaczej sprawa ma się z dwoma pozostałymi składowymi elementami ruchu. Czy akcja robotnicza i narodowe samopotwierdzenie – w momencie gdy spotykają się w sierpniu 1980 roku i łączą z demokratyczną wolą – niosą w sobie elementy antysemityzmu, a jeśli tak, to w jakiej mierze? [...]

Ślad antysemityzmu? Wiosna 1981

Przyjechałem wraz z przyjaciółmi do Polski wiosną 1981 roku z jasno wytyczonym, właściwym dla naszej profesji celem: zbadać ruch Solidarności. Nasza metoda pracy stanowiła przeciwieństwo tradycyjnych projektów badawczych, w których mnoży się rozmaite ankiety czy sondaże, poświęcając jednak niewiele czasu każdemu z nich.

W naszym przypadku metoda polega na zaproponowaniu uczestnikom walki – w tym wy-

padku walki, którą Solidarność toczy z władzą – przeprowadzenie głębszej, zbiorowej refleksji nad znaczeniem, zasięgiem i trudnościami własnego działania. Przy pomocy polskich socjologów i tłumaczy stworzyliśmy w maju 1981 roku grupy złożone z około dziesięciu działaczy związkowych, pochodzących z różnych przedsiębiorstw w Gdańsku, Warszawie i na Śląsku, a później, od października 1981 roku, także w Łodzi, Wrocławiu i Szczecinie. Każda z grup składa się z aktywistów najniższego szczebla, zainteresowanych tego typu refleksją, i prowadzi pracę przez dłuższy okres. W pierwszej fazie członkowie grupy spotykają się z rozmówcami, którzy są adwersarzami bądź partnerami Solidarności – każdemu rozmówcy poświęcona jest osobna sesja, trwająca od jednej do nawet kilku godzin. W fazie drugiej nie ma już uczestników z zewnątrz, przeprowadza się za to analizę ruchu, trwającą w sumie minimum około piętnastu godzin. W miarę upływu czasu badacze interweniują coraz częściej – początkowo pozwalają aktywistom rozwijać własny dyskurs swobodnie, później zaczynają wplatać własne hipotezy, sposoby rozumowania i analizy, które są następnie dyskutowane, podejmowane na nowo, poprawiane i ulepszone przez grupę.

Nie przyjechałem zatem do Polski, żeby badać antysemityzm, i to, co początkowo odkrywam w tym zakresie, jest zaledwie badawczym półproduktem na potrzeby projektu mającego inne cele. Ponieważ jednak badacze spędzają z grupami sporo czasu, a w początkowej fazie grupowe dyskusje i debaty mają charakter całkowicie spontaniczny, badanie pozwala odpowiedzieć na pierwsze pytanie: czy działacze Solidarności, występujący zarazem jako aktorzy walki i ludzie zaangażowani w analizę, która zgodnie z ich intencją ma ująć całość ruchu, którego są uczestnikami, posługują się stwierdzeniami antysemitycznymi, a jeśli tak, to jakimi i jakie jest ich znaczenie? Brak podobnych twierdzeń oznaczałoby, że nienawiść wobec Żydów pozostaje obca jeśli nie jednostkom, z którymi pracujemy, to przynajmniej ruchowi, który badamy.

W pierwszej fazie odpowiadam za grupę z Gdańska, w której pracuję razem z trzema młodymi polskimi socjologami i tłumaczem. Touraine² jest w Warszawie, a Dubet³ na Śląsku. Czy w tych grupach złożonych z szeregowych aktywistów, a nie związkowych przywódców, napotykamy przejawy antysemityzmu, o którym przed moim wyjazdem mówiono mi wciąż na nowo, że należy do samej istoty tego, czym jest Polska? Prawdę mówiąc, nie. Na dziesiątkach stron sprawozdań z posiedzeń, którymi dysponujemy i które zdają sprawę z całości dyskusji, antysemitycznych twierdzeń właściwie nie ma, a ewentualne przytaczanie ich w szczegółach i bez pomijania żadnego oznaczałoby nadawanie im zupełnie nieproporcjonalnego znaczenia.

Przez cały okres funkcjonowania tych grup nie pojawia się żaden antysemityczny epizod, ani na Śląsku, ani w Gdańsku – poza jednym jedynym przejawem, gdy pewien aktywista wyjaśnia, że chce mieć prawo do tego, by nie robić zakupów u Żyda, jeśli nie miałby na to ochoty. Potem wyjaśniono mi, że nie ma sensu pochyłać się nad takim stereotypowym określeniem, które nie ma żadnych praktycznych konsekwencji. Należy ono do dziedzictwa sięgającego ponad siedemdziesiąt lat wstecz, do czasów, gdy Roman Dmowski i nacjonalistyczna prawica snuli teorie bojkotu ekonomicznego Żydów albo też realizowali ów bojkot w praktyce. Dziś to nic innego jak wytarta metafora, której antysemityczne znaczenie dawno już się ulotniło.

Za to w grupie warszawskiej deklaracja jednego z aktywistów przypomina, jak mocno antysemityczna propaganda uczepiła się przynależności Żydów do Komitetu Centralnego Partii w okresie stalinizmu. Później ten sam członek grupy wikła się w wywód, w którym wyjaśnienia współczesnego antysemityzmu mieszają się z określeniami

należącymi do jego repertuaru. „Ja sam nie jestem ani komunistą, ani mieszańcem” – stwierdza aktywista, by następnie zdemaskować – odnosząc się do okresu ostatnich trzydziestu albo dwudziestu lat – wyniosłych spadkobierców politycznej elity, którym wypomina ich nadzwyczajne przywileje. Ta żydowska młodzież o cechach arystokracji była wożona do szkoły samochodami przez szoferów, a później jego zdaniem budowała teorię ateistycznego materializmu, który najczęściej wciąż stanowi podstawę jej działania.

Ta deklaracja, odnosząca się bezpośrednio do kilku ekspertów albo przywódców Solidarności i KOR-u, którzy są pochodzenia żydowskiego, wzbudza w grupie pełne zażenowania poruszenie, stanowiące jedyną odpowiedź na podobne stwierdzenia. Znika ono szybko, tym bardziej że spotkanie wkrótce dobiega końca.

Kilka dni później ta sama grupa przyjmuje u siebie znakomitego rozmówcę, Zbigniewa Bujaka, przewodniczącego regionu NSZZ Solidarność i jednego z najbardziej eksponowanych przywódców ruchu. Znowu pojawia się pytanie, padające zawsze, gdy przywoływane bywa nazwisko innej osobistości z szeregów ruchu: czy Jacek Kuroń, wielka postać KOR-u i opozycji demokratycznej, jest Żydem? Bujak ma na to właściwą odpowiedź: „Nie ma co odpowiadać na takie pytanie, bo nie powinno ono w ogóle paść”. Cała grupa swoją postawą pokazuje, że się z nim zgadza.

W debatach aktywistów i w ich dyskusjach z zaproszonymi gośćmi antysemityczne motywy spotyka się rzadko; pojawiają się wszystkiego trzy razy i przechodzą niezauważone lub są odrzucane przez widoczny dyskomfort, który wywołują. Należą do sfery tego, co Solidarność odrzuca, albo przynajmniej czego się obawia. Narzuca się zatem

2. Alain Touraine (ur. 1925) – socjolog, jeden z najwybitniejszych współczesnych badaczy społecznych, wykładowca paryskiej École des hautes études en sciences sociales (EHESS) i twórca Centre d'Analyse et d'Intervention Sociologiques (CADIS), w 1981 roku szef projektu badawczego, o którym mowa w książce Wieviorki (przyp. tłum.).
3. François Dubet (ur. 1946) – uczeń i współpracownik Alaina Touraine'a, socjolog zajmujący się między innymi problematyką edukacji i przestępczości wśród młodzieży, do 2013 roku wykładowca Université Bordeaux-II (przyp. tłum.).

pierwszy, prowizoryczny na razie, wniosek: wiosną 1981 roku szeregowi aktywiści, umieszczeni w sytuacji, która określa ich jako członków Solidarności, nie podejmują kwestii żydowskiej, a kiedy pojawia się mimo wszystko jakaś antysemita deklaracja, szybko zostaje usunięta na margines.

Stanisław

Postawny, mniej więcej czterdziestoletni i rozsądnie myślący Stanisław pracuje w Stoczni im. Lenina i uosabia wprost ducha gdańskich porozumień. Jest z tych, co sami wywalczyli prawo do posiadania wolnego związku zawodowego. Wie, że walkę trzeba prowadzić zarazem w roli związkowca i aktora politycznego, próbującego stworzyć warunki dla istnienia związku. Szczery i bezpośredni, nigdy nie omieszką wyrazić rozpiętej go dumy; jako pierwszy wyjaśnia też, że uczestniczyłby w naszym projekcie, nawet gdyby wiązało się to z utratą zarobków. Za rzecz zasadniczą uważa refleksję i uczestnictwo w analizie, która następnie pokaże szerszym kręgom społeczeństwa solidny i merytoryczny obraz Solidarności. Jak tu nie doceniać takiego człowieka, jak nie być szczęśliwym z tego, że zyskało się jego zaufanie i przyjaźń, jak nie darzyć go dogłębnym szacunkiem? I oto pewnego dnia, kiedy praca grupy gdańskiej już się zakończyła, polscy badacze z mojej ekipy donoszą mi, że tenże człowiek przy stole w trakcie kolacji podsumowującej tę fazę projektu, wygłaszał antysemita stwierdzenia, skierowane bezpośrednio przeciw KOR-owi. Ten ostatni miałby być zbiorowiskiem Żydów, od którego trzeba się trzymać z daleka.

Stanisław razem z całą grupą kilka tygodni wcześniej spędził pięć czy sześć godzin na bardzo swobodnej dyskusji z Adamem Michnikiem, którego zaprosiliśmy na jedno z posiedzeń. Michnik długo tłumaczył sprawę KOR-u. Komitet Obrony Robotników nigdy nie był polityczną awangardą ani grupą intelektualistów usiłujących zmanipulować świat pracy z intencją powiększenia własnych możliwości społecznego oddziaływania; nie miał

żadnego innego celu poza pomocą robotnikom, którzy musieli stawić czoła represjom, a później także wspieraniem narodzin robotniczego ruchu, dziś już mającego solidne podstawy. Istnieje Solidarność, a zatem KOR nie ma już żadnej racji bytu, i Michnik jasno mówi, że jego rozwiązanie jest już tylko kwestią znalezienia właściwych po temu politycznych okoliczności.

Wszyscy uczestnicy gdańskiej grupy wiedzieli, że Adam Michnik, podobnie jak kilku innych członków KOR-u, jest żydowskiego pochodzenia. Stanisław zaś bez oporów zaaprobował ideę, skądinąd dyskusyjną, że program KOR-u niczym nie różnił się od aktualnego programu Solidarności. Później zależało mu na tym, by powiedzieć Michnikowi, że doskonale rozumie historyczne znaczenie KOR-u oraz to, ile Solidarność zawdzięcza tej grupie mniej więcej trzydziestu osób i ich przyjaciel. Jeszcze lepsze było to, że kilka dni później, w trakcie innego posiedzenia i w sytuacji, gdy nikt nie wymagał od niego mówienia o tym, Stanisław nawiązał do tego spotkania, by wspomnieć o Michniku i KOR-ze w sposób ciepły i pozytywny.

I oto przy stole po kilku kieliszkach ten sam człowiek pozwala sobie na antysemita wycieczki, które, kiedy się o nich dowiaduję, wbijają mi nóż w serce.

Ten robotnik ze Stoczni im. Lenina, z którym poruszony zwiedzałem miejsce walki z sierpnia 1980 roku, miejsce tak doskonale symbolizujące w moich oczach wyzwoleniczą akcję Solidarności, jest zarazem antysemitą. Bohater jest zdolny do czynów haniebnych, w zależności od sytuacji ukazuje swoje świetlane oblicze albo obrzydliwą twarz rasowej nienawiści. Sprzeczność, niespójność? W grę wchodzi tu raczej moja własna naiwność. Jak można nie wyobrażać sobie, że ta sama osoba może być z jednej strony człowiekiem postępu, a z drugiej potencjalnym barbarzyńcą? Z pewnością są w Polsce miliony takich Stanisławów, może nawet w gronie członków Solidarności, i nie byłbym specjalnie zdziwiony, gdybym się dowiedział, że prywatnie nawet Lech Wałęsa używa słownika pełnego

antysemickich wyrażen... Takie są, na gorąco, moje pierwsze reakcje.

Po zastanowieniu dochodzę do dwu wniosków. Pierwszy dotyczy bezpośrednio charakteru Solidarności, a jego ilustracją jest ambiwalencja postaw Stanisława. Demokrata w sytuacji badania, prywatnie jest antysemitą, i wszystko skłania do myślenia, że ten przypadek nie ma w sobie nic wyjątkowego. W samym charakterze Solidarności leży powstrzymywanie, tłumienie, a być może czasami nawet otwarte zwalczanie przejawów antysemityzmu, który ma już istotne znaczenie. Dawne historyczne nienawiści, kultura ludowa pełna wrogości wobec Żydów, a bliżej naszych czasów awersja wobec żydowskich stalinistów są częścią zbiorowej pamięci, która nie znika sama z siebie, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – ten antysemicki fundament wciąż istnieje. Któż mógłby temu zaprzeczać? Nienawiść wobec Żydów, obecną wewnątrz ruchu, dzieli jednak gigantyczny dystans od jego rzeczywistych znaczeń. Wiosną 1981 roku ta odległość wydawała się wręcz nie do sforsowania. Stanisław był z pewnością szczerzy, kiedy dyskutował z Michnikiem, a w trakcie pracy badawczej nie wymknęło mu się żadne złe słowo. Zapomina się dopiero za stołem, kiedy wychodzi już z roli aktywisty analizującego własny ruch. Gdybyśmy dokonali tradycyjnego badania, na przykład sondażowego, na całej populacji Polski, dostrzeżlibyśmy antysemityzm, którego siła być może byłaby dla nas zaskoczeniem; klasyczne badania opinii dotyczące uprzedzeń polskiego społeczeństwa nigdy nie zostały opublikowane – do tego stopnia niepokojący był obraz uprzedzeń, który się z nich wyłaniał, zwłaszcza gdy chodzi o stosunek do Żydów. Jednak w trakcie badań nad Solidarnością, traktowaną jako ruch społeczny, nie napotykamy żadnego antysemityzmu, przynajmniej wiosną 1981 roku. To, że cała Polska rozpoznaje niejako w Solidarności samą siebie, nic nie zmienia w tym rozumowaniu. Można i trzeba powiedzieć, że Solidarność jako ruch społeczny wyklucza antysemityzm, który jednak pozostaje

żywy i trwa w populacji – poza wszelkim odniesieniem do działania.

Drugi wniosek wynika z analizy treści ataków Stanisława oraz antysemickich uwag zaobserwowanych w grupie warszawskiej. Ich celem jest KOR, a antysemickie stwierdzenia wyrażają podszytą niepokojem nieufność. Żydowskich intelektualistów należących do opozycji demokratycznej podejrzewa się o przygotowywanie akcji politycznej; podejrzewa się, że ta inteligencja zmienia się w nową elitę, w nowe wcielenie czerwonej burżuazji, tak znienawidzonej burżuazji stalinowskiej, której część była żydowskiego pochodzenia. Jako wyraz lęku przed polityczną manipulacją wewnątrz ruchu – który widać tak wyraźnie w przypadku KOR-u – antysemityzm pozostaje „zewnątrzny” wobec ruchu solidarnościowego, tylko jeśli opiera się na tradycyjnych ludowych przesądach.

Żyd symbolizuje tu aktywnego politycznie intelektualistę – do tego stopnia, że Jacek Kuroń, sam nie będąc Żydem, ale uosabiając ową polityczną akcję, nieustannie podejrzewany jest o żydowskie pochodzenie. Krążymy tu bezustannie między trzema kategoriami: Żyda, polityka oraz intelektualisty. W lipcu 1981 roku powtarzam sobie, że jeśli antysemityzm jest w stanie przeniknąć do Solidarności, to prawdopodobnie stanie się to za pośrednictwem tego właśnie kanału.

Negatywne i antysemickie odniesienia do KOR-u dodają do lęku przed manipulacją jeszcze jeden poziom znaczeń: potępienie ateizmu i materializmu Żydów (czytaj: żydowskich komunistów), odwołujące się do przekonań, moralności i wartości, które w oczywisty sposób uosabia Kościół. Żyda nie definiuje się tu poprzez fakt zabójstwa Boga, lecz poprzez brak wartości czy wiary; zarzuca się mu świeckość, która oddała go od wiernych jednoczących się pod egidą Kościoła. Odrzucenie władzy dokonuje się więc poprzez odrzucenie marksistowskiego pozytywizmu. Partia usiłowała narzucić swoje ateistyczne kategorie, a najbardziej aktywni politycznie Żydzi nigdy nie ujawniali oznak jakiegokolwiek religijności. Zasymilowali się, ale nie

nawrócili. Antysemityzm nie ma tu z pewnością charakteru rasowego – wymaga tylko od ludzi uczestniczących w walce, by uznawali wartości i duchowy wymiar swoich działań.

Kierując uwagę na najmniejsze oznaki antysemityzmu, odnajduję tylko ich niezmiernie rozrzedzone objawy, pozostające na zewnątrz ruchu. Z jednej strony nienawiść wobec Żydów przynależy do dyskursu prywatnego i nie ma zatem nic wspólnego z Solidarnością. Z drugiej strony jego przelotne pojawianie się wskazuje na wyłom wewnątrz ruchu, przepaść, w której – czego nigdy nie można wykluczyć – mógłby się on pogryźć. Na razie jednak nic na to nie wskazuje. Wśród członków naszej ekipy badaczy pojawia się czasem pytanie, którego nie poruszamy w trakcie badań terenowych z aktywistami ruchu. Strach przed złamaniem milczenia w kwestii, która stanowi tabu, przed otwarciem tamy dla antysemityzmu, którego nic nie będzie już w stanie zatrzymać i który nas porwie? Z pewnością nie – w innej atmosferze, jak zobaczymy później, nie będziemy się wahać i otwarcie postawimy tę kwestię na porządku dziennym. Jednak w czerwcu i lipcu 1981 roku mówienie o antysemityzmie ustawiłoby nas poza obrębem naszego przedmiotu badań i wprowadziłoby do grup problematykę, która jest wobec nich zewnętrzna – polska z pewnością, ale nie solidarnościowa.

2. Zmiana klimatu: od zjazdu Solidarności do sprawy Jurczyka

Solidarność odbywa swój pierwszy zjazd w Gdańsku we wrześniu 1981 roku; zostają na niego zaproszeni. Przy wejściu dostają plakietkę eksperta – będę, o ile wiem, jedynym obcokrajowcem uczestniczącym jako ekspert w tym wydarzeniu.

Zjazd stanowi tak radykalne zerwanie z tym, czym Solidarność była w ciągu poprzedzających go miesiące, że trudno otrząsnąć się ze zdumienia. W kilka tygodni ruch zyskał nową siłę, jest niesiony niepowstrzymanym porywem, a delegaci podejmują decyzje, które były nie do pomyślenia jeszcze

miesiąc wcześniej – z godną podziwu swobodą i pewnością siebie. Formuluje się przesłanie skierowane do inicjatorów powstania wolnych związków zawodowych w innych krajach bloku wschodniego – w sposób na tyle zdecydowany, że obserwatorzy są tym zaskoczeni jeszcze bardziej niż delegaci; podjęta zostaje decyzja o zorganizowaniu referendum na temat samostanowienia, o ile sejm nie podejmie w tym zakresie zadowalających decyzji; przyjmuje się też uchwałę z żądaniem wolnych wyborów do parlamentu itd. Antysocjalistyczna i antysowiecka orgia wywołuje oburzenie w Moskwie. Wydaje się, że Solidarność złapała wiatr w żagle, tym bardziej że Partia sprawia na zewnątrz wrażenie, jakby ulegała przyspieszonemu rozpadowi.

Jednocześnie jednak w miarę umacniania się ruch się dzieli, a między określającymi go elementami składowymi zarysowuje się rozdział, wewnątrz którego zaczyna majaczyć widmo antysemityzmu.

W sierpniu 1980 roku główne żądanie strajkujących w Gdańsku i Szczecinie dotyczyło prawa związku do istnienia. Mijały miesiące i pojawiały się nowe żądania, w miarę jak ruch usiłował wymóc na władzy poszanowanie dla porozumień z lata 1980 roku; przez pierwszy rok istnienia Solidarność próbowała oswobadzać nowe przestrzenie społeczne: najpierw przedsiębiorstwa, z których pragnęła usunąć pasożytniczą „nomenklaturę”, a potem także całą sferę gospodarki.

W miarę jak ruch rośnie i przechodzi od żądań względnie ograniczonych do bardziej rozbudowanych, coraz trudniej jest mu zachować jedność. We wrześniu 1981 roku zachowania zarówno szeregowych działaczy, jak i kierownictwa ruchu są już znacząco zróżnicowane.

Niektórzy z nich, zaniepokojeni, chcieliby wszystko unieruchomić i czują lęk w obliczu politycznego parcia, które pcha ruch naprzód. Inni, wręcz przeciwnie, uważają, że parcie to jest korzystne, że trzeba umieć gromadzić zdobycze i skończyć z sytuacją, w której Partia wciąż trzyma w ręku zdecydowanie zbyt wiele. W tej ostatniej grupie niektórzy nadają większe znaczenie tematowi

narodowej niepodległości, inni z kolei kładą nacisk na demokratyczny charakter społeczeństwa, w imię którego prowadzą walkę.

Te z wolna zarysowujące się podziały nie są zresztą jedynymi – narasta też opozycja między tymi, dla których jedyną drogą pozostają negocjacje z władzą, i tymi, którzy z racji sceptycyzmu, rozczarowania bądź desperacji prowadzą dyskurs bardziej radykalny, nie wzywając jednak zarazem nigdy do rewolucyjnego zerwania.

Ruch przenikają więc coraz silniejsze napięcia, a w przestrzeń przez nie otwartą wkraczają dyskursy kryzysowe. To, co było wcześniej postępowe i konstruktywne, w przypadku niektórych wydaje się zamieniać w skupienie na sobie, odwołanie do homogeniczności, a także w afirmację bycia robotnikiem i istoty polskości, które mogą zawierać w sobie ziarno antysemityzmu.

Umacnianie się nacjonalizmu

Postronnego obserwatora uderza przede wszystkim afirmacja ostrzejszej wersji nacjonalizmu – spektakularnych objawów takiej afirmacji nie brakuje. Trudno nie być zwłaszcza pod wrażeniem oklasków, które towarzyszą przemówieniom inspirowanym nacjonalizmem. Powodzenie, jakim cieszą się choćby postulaty programu ekonomicznego profesora Kurowskiego, nie ma wiele wspólnego z ich treścią ekonomiczną, za to bardzo wiele z ich antysowieckim charakterem.

Ten ekspert opowiada się za powrotem do rynku rozumianego na sposób hiperliberalny – często nazywa się go więc polskim Friedmanem, nawiązując do głównej postaci ekonomicznej szkoły chicagowskiej. Rozwija postulaty, które powinny napawać niepokojem każdego odpowiedzialnego związkowca: ograniczenie siły nabywczej, praca w soboty itp. Obstaje jednak również przy konieczności zerwania z zależnością od wielkiego brata i to wywołuje gorący aplauz.

Podobnie obserwatorów uderza skrajny charakter stanowiska reprezentowanego przez Jana Ru-

lewskiego, lidera regionu bydgoskiego Solidarności, który kandyduje w wyborach na przewodniczącego związku, używając określeń jawnie i gwałtownie wrogich wobec Moskwy.

Solidarność przez długi czas sama ograniczała się w tej kwestii, teraz jednak zaczyna coraz bardziej otwarcie kwestionować zależność Polski od Kremla; do dyskursu odrzucającego obcą dominację dołączają się inne postacie nacjonalizmu, bardziej afirmatywne i mniej zorientowane na zerwanie, wyrażające za to polskość definiowaną w kategoriach kultury, historii i religii.

W mojej obecności nikt – ani publicznie, ani prywatnie – nie wyraża antysemickich poglądów i jest to na tyle subiektywne, że należy o tym pisać w pierwszej osobie. Zaostrzający się nacjonalizm wprowadza atmosferę napięcia i niepokoju. Wielu moich przyjaciół, także tych należących do Solidarności, potwierdza własne odczucie napięcia o niejasno antysemickim zabarwieniu. Paranoja, obsesyjny lęk? Czy antysemityzm unosi się w powietrzu? Nie wiem. Pewne jest jednak, że narasta lęk przed tym, że pod postacią polskiego nacjonalizmu obudzą się dawne demony.

Mój niepokój wzmacnia się przy kolacji, którą jem w towarzystwie Marka Edelmana. Ten bohater warszawskiego getta, jedyny ocalały z kierownictwa powstania, nigdy nie chciał opuścić Polski. Mieszka w Łodzi, gdzie pracuje jako lekarz. Ten niski, smutny człowiek, cały ubrany na szaro, wydaje się zaskoczony okazywanym mu przeze mnie zainteresowaniem. Jest w widoczny sposób niechętny przywoływaniu w mojej obecności kwestii żydowskiej czy kwestii antysemityzmu we współczesnej Polsce. Mówi jedynie – nieco zrezygnowany, niemal przygnębiony – że unika publicznego zabierania głosu, bo nie chciałby ryzykować, że jego idee czy stwierdzenia wywołają antysemickie ataki. Chciałbym z nim dłużej podyskutować na ten temat, dochodzę jednak do wniosku, że nie zależy mu na rozmowie ze mną o kwestii żydowskiej, tak jakby temat ten powinien pozostać ukryty gdzieś w najgłębszym zakątku jego własnej osoby. Być

może jednak wolały po prostu – z powodów, których nie znam – pozostawić ten temat na boku w tym konkretnym momencie, w którym odbywa się nasze spotkanie, i zgodziły się porozmawiać w okolicznościach innych niż zjazd.

Tego samego popołudnia pewne wydarzenie potwierdza zarysowujący się podział między składowymi elementami ruchu. Czy nacjonalizm i demokratyczna wola, które dotychczas uzupełniały się harmonijnie i wzmacniały, teraz nie oderwą się od siebie? Pewien obwieszony medalami generał oklaskiwany jest jak jeszcze nikt dotąd na zjeździe. Trzeba powiedzieć, że nie owijał w bawełnę, opisując swoje pobyty w więzieniach okupantów rosyjskich i niemieckich w nacjonalistycznym uniesieniu, które udziela się całemu zgromadzeniu. To wtedy zebrani dowiadują się – czego najwyraźniej nie byli świadomi – że na sali obecny jest inny bohater narodowy. Marek Edelman nie tylko jest obecny, jest także delegatem na kongres, reprezentującym dziesięć tysięcy łódzkich związkowców. Długie, energiczne i gorące oklaski – zjazd Solidarności wita prawdziwie emocjonalną owacją postacią historyczną, Żyda, który znany jest za sprawą oporu stawianego nazistom i którego określa to właśnie wydarzenie sprzed lat. Jego zaangażowanie w Solidarność to symbol, podobnie jak uznanie jego autorytetu przez ruch. Jest w tych oklaskach jakiś znak demokratycznego entuzjazmu, akceptacji dla pluralizmu i różnicy. Niektórzy obserwatorzy są jednak sceptyczni, sugerując, że owacja na cześć Edelmana mogła zostać zainspirowana przez organizatorów zjazdu, by zrównoważyć entuzjastyczne przyjęcie, z jakim spotkało się przemówienie generała. Narodowe samopotwierdzenie i demokratyczna wola są tak naprawdę bardziej obok siebie niż ze sobą.

„Prawdziwi Polacy”

Im mniej Solidarność ogranicza się do samego re-spektowania porozumień gdańskich, tym bardziej opuszcza teren akcji związkowej, by wysuwać żą-

dania bardziej ogólne, i tym mocniej jednocześnie rozwija się nacjonalizm, dla którego horyzontem może być jedynie niepodległość. Wysuwanie takich żądań, które oznaczałyby zakwestionowanie Układu Warszawskiego i otwarte wyzwanie rzucone Moskwie, jest jednak z zasady wykluczone. Dlatego odwołanie do niepodległości nie zostaje na zjeździe otwarcie sformułowane, a pragnienie, by ujrzyć Polskę wyzwoloną od obcej dominacji, przybiera odmienne formy. Najbardziej skrajne spośród nich odwołują się ostatecznie do jakiejś istoty polskości, która – o ile nie może działać przeciw prześladowcy – może w każdym razie wysuwać na pierwszy plan własną czystość.

Taka afirmacja odrzuca wszystko, co nie jest tożsame z polskością, i musi natychmiast wejść w konflikt z pluralistyczną i demokratyczną koncepcją społeczeństwa. Jak mogłaby akceptować społeczne, kulturowe czy polityczne różnice, a tym bardziej ich pragnąć? Da się wyraźnie usłyszeć nawoływania do Jedności. Pożywką dla nich jest rosnąca wrogość wobec sił demokratycznych pozostających w obrębie ruchu, których symbolem zawsze był KOR. Od wielu miesięcy większość osób, które działały aktywnie w Komitecie, uważa, że spełnił on już swoje historyczne zadanie. Społeczne siły, których formowanie się wspierał, nie potrzebują już z pewnością jego pomocy – robotnicy, podobnie jak chłopci czy studenci, mają już swoje niezależne związki. Zjazd Solidarności stanowi dobrą okazję do ogłoszenia rozwiązania Komitetu, tym bardziej że ostre niekiedy konflikty wewnętrzne powodują, iż jakakolwiek działalność w jego ramach jest niemożliwa. Jego najstarszy członek, ekonomista Edward Lipiński, odczytuje z trybuny zjazdowej akt samorozwiązania, po czym rozpętuje się bitwa na uchwały. W spektakularny sposób Solidarność przenika antagonizm, odczuwany przez wszystkich bardzo emocjonalnie.

Jedni chcą podziękować KOR-owi w jego obecnej postaci poprzez uchwałę, która byłaby mu poświęcona w całości – co oznacza, że kładą nacisk na demokratyczne sensy działania; inni jednak odma-

wiają wyróżniania Komitetu i podkreślenia jego roli w uchwałach dziękujących w imieniu Solidarności jego założycielom. Wolą podkreślać historyczną rolę innych sił, zwłaszcza Kościoła. Uprzywilejowują zatem to, co ruch ma w sobie narodowego – zarówno jeśli chodzi o jego początki, jak i właściwy sens.

Zaczyna się mówić o „prawdziwych Polakach” – przeciwstawianych tym, którzy nimi nie są. Wokół kwestii samorozwiązania KOR-u narasta atmosfera napięcia i wzburzenia. Dramatycznie robi się w momencie, gdy w trakcie posiedzenia traci przytomność chory na serce Jan Józef Lipski, członek KOR-u i delegat na zjazd. Ważna postać opozycji demokratycznej i dawny żołnierz AK, Lipski znany jest ze swoich odważnych deklaracji – w dalszej części książki będę się jeszcze odwoływał do jego analiz kwestii narodowej i antysemityzmu. Czy to omdlenie Lipskiego, istnej *bête noire* dla kierownictwa Partii, której antysemityzm demaskował od lat pięćdziesiątych, nie jest znaczące? Te wydarzenia wzmacniają niepokój tych, którzy zastanawiają się, czy akcja demokratyczna i narodowa, zamiast, jak wcześniej, dopełniać się nawzajem, nie zaczęła odrywać się od siebie, czy wręcz nie wejdą w otwarty konflikt wewnątrz ruchu. W tym konflikcie orientacji, które dotąd wzajemnie się wspierały, antysemityzm może potencjalnie stać się haniebną bronią w walce jednego obozu z drugim, demagogicznym narzędziem „prawdziwych Polaków”, których nacjonalizm będzie czerpał większą pożywkę z antyżydowskiej nienawiści niż z pozytywnego i konkretnego działania.

Tych problemów nie da się przemilczeć i w kuluarach zjazdu widać intensywne napięcie. Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że da się słyszeć antysemickie poglądy. Z drugiej strony ci, którym bardziej po drodze z demokratami niż z „prawdziwymi Polakami”, są przekonani, że wszędzie obecny jest ukryty antysemityzm. Kiedy na marginesie zjazdu Antoni Macierewicz, jeden z członków KOR-u, zaczyna jawnie afiszować się z hipernacjonalistycznymi poglądami i wydaje się zmierzać w stronę uformowania organizacji politycznej,

jego dawni przyjaciele rozumieją to w nader konkretny sposób: organizacja, którą powołuje, musi w końcu ich zdaniem skrócić w stronę antysemityzmu... Jednak w tej szczególnej atmosferze, którą wytwarza zjazd, i w ramach nadmiernie spolityzowanego środowiska KOR-u oraz różnych politycznych nurtów grawitujących wokół Solidarności, oskarżenie o antysemityzm stanowi także argument w swego rodzaju poszlakowym procesie, który zmierza do zepchnięcia adwersarza w sferę nonsensu i barbarzyństwa; w tym ciężkim klimacie napięcia fałszywych oskarżeń o antysemityzm jest prawdopodobnie tyle samo – albo i więcej – niż rzeczywistego antysemityzmu.

Przeciw intelektualistom

W ten sposób przy okazji zjazdu Solidarności ujawnia się nacjonalizm, który może okazać się obciążony antysemickimi konotacjami. Jednocześnie na powierzchni wychodzi ideologia robotniczej „bazy”, która na razie jest po prostu antyintelektualna i wroga wobec „ekspertów”, ale która może również osunąć się w stronę czegoś znacznie bardziej chorobliwego i niebezpiecznego.

W sierpniu '80 Solidarność wypracowała pewien modus relacji z intelektualistami, który pozwalał wykorzystywać ich wiedzę w służbie walki, zachowując jednocześnie ich niezależność. Autonomiczni intelektualiści stali się „ekspertami”, przedstawiali swoje stanowiska i tworzyli analizy polityczne. O niektórych spośród nich zabiega się bardziej z racji ich specjalnych kompetencji technicznych, ekonomicznych, prawniczych i innych; jednocześnie są oni z zasady wykluczeni z procesów decyzyjnych, które stanowią wyłączną domenę związkowców.

W trakcie zjazdu narasta jednak krytyka i pojawiają się oskarżycielskie ataki na kierownictwo związku – w tym na samego Lecha Wałęsę – których przedmiotem stają się doradcy i eksperci oskarżani o manipulowanie związkiem. Szczególną ofiarą tej fali ataków będzie Bronisław Geremek, którego

zjazd nie wybierze do Komisji Krajowej Solidarności. Cóż za upokorzenie – w moich oczach niesprawiedliwe – dla doradcy Wałęsy, który chciał zostać wybrany w sposób demokratyczny dokładnie po to, by skończyć z własną „zewnątrznością” i móc przemawiać z wnętrza związku, a nie jako ekspert. Czy padł jedynie ofiarą – podobnie jak ekonomista z Warszawy Bugaj – „bazy”, robotniczego aktywu wrogiego intelektualistom? Czy to nie on właśnie reprezentuje, bardziej niż ktokolwiek inny, przejęcie przez ekspertów kontroli nad ruchem, który pragnie być zasadniczo robotniczy? Ci, którzy za kulisami wykonywali najwięcej manewrów służących temu, by Geremek nie został ostatecznie wybrany, są sympatykami KOR-u. Zarzucają Geremkowi manipulację, a chcieliby, żeby intelektualisci byli w tym zakresie poza wszelkimi podejrzeniami. Być może z tej porażki wynika idea absolutnej odmowy ze strony ruchu, by dać się uwieść przez intelektualistów. Chyba że, bardziej prozaicznie, należałoby doszukiwać się źródła tych manewrów nie w jakimś pragnieniu czystości, lecz w wewnętrznych przeciwieństwach i walkach o wpływy między różnymi klanami, do których dołączają się intelektualisci.

Ryzykowne byłoby pójście dalej w tym rozumowaniu. Resentyment „bazy” podyktowany jest przede wszystkim roztropnością, którą uzasadnia z kolei trzydzieści pięć lat kłamstw i zdominowania życia społecznego przez Partię. Resentyment ten wyraża wolę aktora, by zaznaczyć własną autonomię. Nie chodzi tu o żydowskie pochodzenie Geremka – podkreślane później w haniebnej kampanii rozpętanej przez władzę jeszcze przed represjami z grudnia 1981 roku – które miałyby powodować, że wszyscy, którzy go atakują, są z konieczności antysemitami; trudno jednak uniknąć niepokoju i wątpliwości. Historia pełna jest populizmów, w których postawy antyintelektualne łączą się z uczuciami antysemitycznymi.

W październiku 1981 roku, gdy kończy się zjazd Solidarności, atmosfera wewnątrz związku zagęszcza się, choć nie ma otwartych oznak antysemityzmu. Nacjonalizm i antyintelektualny

nurt robotniczej czystości niepokoją tych, którzy przeżywszy rok '68 i inne trudne okresy, potrafią rozpoznać narastanie niebezpiecznych tendencji. Czy nie niesie ono ze sobą ryzyka powrotu antysemityzmu, którego, jak mniemali, Polska ostatecznie się pozbyła? W ich oczach najgorsze jest to, że niebezpieczeństwo tkwi w samym wnętrzu ruchu, który ich niesie.

Sprawa Jurczyka

Listopad 1981, biura regionalnej komisji Solidarności w Krakowie. Dostrzegam moją przyjaciółkę Irenę w towarzystwie Adama Michnika. Ten ostatni ma po południu uczestniczyć w spotkaniu komisji związkowej w Hucie Lenina, wielkim kombinacie metalurgicznym, w którym od pierwszych miesięcy walki pełni funkcję eksperta. Spieszy się i w przełocie tylko zaprasza nas do uczestniczenia w tym zebraniu; podaje też, na razie bez żadnych szczegółów, przerażającą informację, którą jego zdaniem należałoby jeszcze dokładnie potwierdzić: Marian Jurczyk miał w trakcie spotkania z robotnikami wygłaszać gwałtowne stwierdzenia, domagające się wieszania komunistycznych przywódców i skończenia z Żydami, którzy sprawują władzę.

Po raz pierwszy zatem – i jedyny – w całej historii ruchu jeden z liderów Solidarności publicznie wygłasza antysemityczne poglądy. Wydarzenie następuje w momencie, gdy nasza ekipa odbywa długą podróż na prowincję, przeprowadzając kolejne wywiady i odbywając kolejne spotkania z ekspertami, liderami ruchu, a także z szeregowymi aktywistami w ich fabrykach; odtąd będziemy pytać naszych rozmówców o zasięg i znaczenie słów wypowiedzianych przez Jurczyka.

Nie jest on w Solidarności byle kim. To jeden z nielicznych liderów – być może jedyny na tym poziomie organizacji – który odgrywał równie centralną rolę w 1970 roku, w trakcie buntu nad Bałtykiem, co dziesięć lat później. Przewodniczy związkowi w Szczecinie, spotkaliśmy go w sierpniu 1980 roku, a więc w czasie, gdy usiłowaliśmy ocenić

reakcje kierownictwa ruchu na nasz projekt badawczy. Zainteresowany i otwarty, Jurczyk zareagował wtedy nader pozytywnie.

W październiku 1981 roku na zjeździe Solidarności wywarł duże wrażenie na obserwatorach: bardziej aktywny w debatach od większości liderów, wygłosił znakomite, jasne i dopracowane przemówienie, kandydując na przewodniczącego związku. I o ile Lech Wałęsa otrzymał zaledwie 55% głosów w tych wyborach, o tyle Jurczyk zgromadził ich aż 25% dzięki swoim wyważonym, zwartym i bardzo związkowym w tonie argumentom, jak również za sprawą formułowanej głośno krytyki Rakowskiego, jednej z ważnych postaci reżimu. Obraz tego związkowca zdecydowanie sprzeciwiającego się wszelkiemu kompromisowi z Partią wydaje się teraz zarazem bardziej kompletny i bardziej niepokojący. Jurczyk jest także populistą odwołującym się do idei czystości związku i narodu; nawiązuje tym samym do najgorszych tradycji polskiego nacjonalizmu i antysemityzmu.

Na gorąco trudno stwierdzić, czy faktycznie powiedział to, co mu się przypisuje. Być może nastąpiło przekłamanie i manipulacja ze strony PAP, oficjalnej instytucji informacyjnej, która podała tę informację. Dlaczego Jurczyk – o ile informacja się potwierdzi – miałby pozwolić sobie na mówienie głośno tego, co dotychczas zachowywał dla siebie albo wygłaszał jedynie w prywatnych rozmowach? A jeśli faktycznie wyraził się w ten sposób, to czy wynikało to ze słabości? Jeśli zaś popełnił polityczny błąd, to czy w grę wchodziło zmęczenie i związane z tym poluzowanie kontroli? Mogło też jednak równie dobrze chodzić o świadomą kalkulację, mającą wzmocnić jego pozycję wewnątrz ruchu poprzez pozycjonowanie samego siebie jako „twardego” w opozycji do bardziej umiarkowanego Wałęsy i liderów demokratycznych, którzy mogli być jedynie prerażeni tego rodzaju stwierdzeniami.

Polityczna linia Jurczyka jest dobrze znana. Nie wierzy w realne przymierze z władzą, a gwałtowność jego słów pokazuje, że obecnie nie widzi możliwości koegzystencji z aparatem dominacji,

w którym dostrzega silne wpływy żydowskie. Absurdalność tej przemowy – gdzie są owi Żydzi rządzący rzekomo krajem? – wzmacnia hipotezę, że mamy do czynienia z mało politycznym rozumowaniem, które wynika przede wszystkim z poczucia, że znalazł się w ślepej uliczce. Jak jednak można wyjść poza podobne rozmyślania i spekulacje? [...]

W tym kraju, gdzie obieg informacji staje się już swobodny, wciąż trudno jednak dokładnie rozpoznać, o co chodzi w całej tej aferze. Przez kilka dni informacje, które uzyskujemy tu i ówdzie, są całkowicie sprzeczne. Jedna grupa, mniej liczna, uważa, że sprawę zmontowały władze, które już dawno osiągnęły mistrzostwo w fałszowaniu informacji. Byłby to zatem kolejny montaż, jakich wiele było już w przeszłości, zwłaszcza w odniesieniu do Jacka Kuronia, którego chciano za wszelką cenę skompromitować. Jeden ze związkowców uważa, że zna szczegółowo przyczyny całej operacji, i broni tezy o zemście Rakowskiego, wiceministra ds. kontaktów ze związkami zawodowymi, który dwa miesiące wcześniej stał się celem ostrej krytyki Jurczyka. Inny stwierdza bez cienia wahania, że Jurczykowi, gdy mówił o Żydach, chodziło tak naprawdę o Zrzeszenie Patriotyczne „Grunwald”, którego propagandę cytował, by tym lepiej ją potępić. Jeszcze inni, liczniejsi, których opinia ostatecznie okaże się słuszna, uważają, że Jurczyk „powiedział, co powiedział”; niektórzy dorzucają jeszcze, że to zadeklarowany antysemita. Według wielu zachodnich dziennikarzy dementi, jakie następnie przedstawił, było jeszcze bardziej obciążające niż pierwotne stwierdzenia; wplątał się w brudną aferę, która w obrębie ruchu nie mogła nie spodobać się Lechowi Wałęsie, z którym Jurczyk w widoczny sposób konkurował miesiąc wcześniej na zjeździe Solidarności.

Obraz Jurczyka, który stopniowo się wyłania, jest obrazem związkowca zmuszonego do przyjęcia politycznej roli na skalę całego kraju, która go przerosła. Tracąc kontrolę nad sobą, szczeciński lider wydaje się ześlizgiwać w stronę pozycji, które ostabiają go i marginalizują wewnątrz ruchu. Spo-

tyka go to, co grozi każdemu, kto w Solidarności usiłuje przeciwstawić się Wałęsie. Aby narzucić własną osobę, trzeba przedstawić się w sposób jasny i wyrazisty, a ponieważ centrum zajmuje charyzmatyczny przywódca ruchu, to im bardziej się od niego odróżniamy, tym bardziej stawiamy samych siebie na marginesie.

Sprawa Jurczyka nie ma wyłącznie charakteru anegdotycznego, wskazuje bowiem na zagęszczającą się atmosferę. Czy nie jest wyrazem tendencji do słabnięcia ruchu, czy nie wieszczy najgorszego, czyli autonegacji Solidarności poprzez dyskurs i postawy należące do repertuaru władzy, z którą związek toczy walkę?

Odrzucenie antysemityzmu

Nie jest wcale oczywiste, czy Jurczyk – pomijając haniebny charakter jego słów – faktycznie popełnił polityczny błąd. Być może nawet poparcie dla niego w Solidarności wzrosło. Na solidarnościowych szczytach, w środowisku kierowniczym, jak również wśród przeważającej części sympatyzujących ze związkiem intelektualistów, ekspertów czy zwykłych członków ruchu, komentuje się ten incydent w sposób negatywny, nie poświęcając mu zresztą zbyt wiele uwagi. Trzeba powiedzieć, że tamtej jesieni 1981 roku historia przyspiesza, a ważne wydarzenia następują po sobie w coraz szybszym tempie. Kiedy stawiamy pytanie o zachowanie Jurczyka związkowej „bazie”, odkrywamy, że antysemicki wymiar tego ataku przeszedł niemal niezauważony. Do wszystkich dotarło to, co powiedział o komunistycznym kierownictwie, i ten element oceniany jest pozytywnie. Wielu uważa, że zadowolili się powiedzeniem na głos tego, co wszyscy myślą, ale nikt głośno nie wypowiada; jeśli zaś chodzi o antysemityzm, wszyscy prześlizgują się nad nim, nie akcentując tej kwestii i raczej wyrażając wobec niej ubolewanie. Całkiem spokojnie wskazuje się, że to po prostu jedna z opinii, która

nie jest akceptowana. W Hucie Lenina na przykład w trakcie spotkania z kilkoma członkami kierownictwa związku jeden z robotników podsumowuje ogólny nastrój, wskazując, że Jurczyk „ma prawo wyrażać swoje poglądy, nie należy tego ukrócać”, ale że „nie zgadzamy się z nim i nie podobała nam się jego postawa wobec Żydów”. Antysemityzm określany jest tu jako idea czy opinia i być może to właśnie odróżnia go od tego, co znamy z Francji czy innych demokracji zachodnich.

„Opinia – powiada Sartre w odniesieniu do antysemityzmu – to niewinne słówko [...], sugeruje, że wszystkie zapatrywania są równouprawnione, uspokaja nas i nadaje myślom pozór jak najbardziej niewinny, upodabniając je do zwyczajnych gustów. Są gusty i guściki, wszystkie poglądy są dopuszczalne”⁴, gdy mowa o cudzoziemcach, a ten, kto przeciwstawia się antysemityzmowi Jurczyka, odrzuca go jako opinię właśnie albo postawę pozbawioną balastu rasowego i barbarzyńskiego. Nie posuwając za daleko ryzykownego porównania z demokratycznymi krajami Zachodu, gdzie antysemityzm również jest obecny, tak jak tu, mimo wszystko we Francji w porównywalnej sytuacji odpowiedzialni związkowcy natychmiast potępiłoby z oburzeniem wszelkie antysemickie stwierdzenia padające z ust znaczącego lidera... Antysemityzm w Polsce, nie tyle rasistowski i biologiczny, co kulturowy i narodowy, odróżnia się od antysemityzmu nazistowskiego; choć odpychający, jest jednak czymś mniej bezpośrednio zbrodniczym w oczach tych, którzy z nim walczą.

Jeden z ekspertów ruchu, wpływowa postać środowiska katolickiego w Lublinie, znakomicie przedstawia nam odrzucenie antysemityzmu przez Solidarność, zwłaszcza przez jej kierownictwo. Nie lekceważy słów Jurczyka, ujawniających antysemityzm często pozostający w ukryciu, ale jak sam mówi, doświadczył ostatnio ogromnej zdolności ruchu do tamowania i eliminowania jego wpływów. W trakcie ważnego posiedzenia grupy robo-

4. J. P. Sartre, *Rozważania o kwestii żydowskiej*, przeł. J. Lisowski, Łódź 1992, s. 9.

czej przygotowującej materiały na koniec zjazdu Solidarności zobaczył, jak niejasno nacechowane antysemityzmem stanowisko zostało zdecydowanie i spektakularnie odrzucone. Precyzuje przy tym, że gdy chodzi o „prawdziwych Polaków”, niesprawiedliwe byłoby utożsamienie ich po prostu z antysemitami oraz że wedle wszelkich oznak nie są oni w stanie zorganizować się na tyle, by utworzyć coś więcej niż tylko nurt opinii. Słuchając go, zauważam jednak, że dla demokratycznego intelektualisty, jakiego mamy przed sobą, istnieją pewne słowa bolesne i stabuizowane – kiedy przywołuje pewnego lidera Solidarności, który dla mnie jest po prostu Żydem, długo szuka słów i ostatecznie jest w stanie wybrnąć z kłopotu dzięki niejasnemu określeniu, które umożliwia mu ominięcie słowa „Żyd”. Czy to przesadna ostrożność Polaka wiedzącego, jak bardzo pryncypialni w kwestii antysemityzmu bywają czasem ludzie z Zachodu, i pragnącego uniknąć wszelkiego nieporozumienia? Czy może skrępowanie wobec tematu, którego wołałoby się nie poruszać? Nie, wyjaśnienie tkwi gdzie indziej i wprowadza, jak odkryję później, niemożliwe do uniknięcia pytanie o tożsamość żydowską. Przywołany lider Solidarności sam nigdy nie określał się jako Żyd, ta cecha wyznacza mu jednak jakieś miejsce, zostaje mu narzucona przez spojrzenie innego. Czy możemy, sami będąc lub nie będąc Żydami – to akurat bez znaczenia – uznawać za Żyda kogoś, kto odmawia bycia określanym w ten sposób? Czy żydowskie pochodzenie wystarczy do określenia żydowskości, która może w ten sposób stać się czymś biologicznym czy rasowym? Za wahaniem naszego rozmówcy kryje się cały ogromny obszar tego zagadnienia, nie wynikają one zatem z niejasnej ostrożności, jaką wymusza sytuacja. Być może należy – jak proponuje Serge Bonnet w odniesieniu do katolików – rozróżniać Żydów socjologicznych, których określa zanurzenie w kulturze czy w zbiorze praktyk, jakiegokolwiek by one były, od Żydów etnologicznych, czyli tych, których opisuje się zawsze za pomocą pełnego skrępowania określenia „jest pochodzenia żydowskiego”.

„Radykałowie”

Grupa ludzi, których postawy się zradycalizowały, jest coraz liczniejsza – odmawiają oni całkowitego zerwania z władzą, ale mają dosyć jej uników, dochodząc zarazem do wniosku, że pozycja Partii w przedsiębiorstwach uległa albo osłabieniu, albo wręcz zupełnemu załamaniu. Słowa Jurczyka, o ile faktycznie odzwierciedlają jakąś staranną polityczną kalkulację lub stanowią wyraz wrażliwości pewnej części związkowej „bazy”, powinny znaleźć wdzięcznych odbiorców w tych radykalnych działaczach.

W Lublinie regionalne kierownictwo Solidarności zorganizowało dla nas spotkanie z działaczami z przedsiębiorstwa, które znane jest ze swego radykalizmu. Tą fabryką władają zdecydowani bojownicy; przeprowadzimy tam pewien test, którego wyniki zostaną następnie potwierdzone już w innych okolicznościach. Nasi „twardzi” związkowcy są prawdziwym wyrazem woli robotniczej i narodowej, przedstawiają się też jako radykałowie i kładą na swój radykalizm wyraźny nacisk. Przywołujemy różne aspekty ich działań, atmosfera robi się gorąca, a kiedy podajemy pod dyskusję sprawę Jurczyka, wszyscy spontanicznie odmawiają, by identyfikować ich z antysemitycznymi stwierdzeniami, co do których nie wierzą, by mogły zostać wypowiedziane przez jednego z ich własnych liderów. Dla nich antysemityzm to Zrzeszenie Patriotyczne „Grunwald”, fascynujący przejaw nacjonalizmu, inspirowany przez najtwardsze elementy w Partii. W oczach związkowców w Polsce nie istnieje dziś problem żydowski. My jednak naciskamy z pełną powagą i – po raz pierwszy w mojej obecności – nasi rozmówcy stają się nieufni. Najeżają się. „Kim wy właściwie jesteście? – pytają nas – Czego od nas oczekujecie, czy nie chcecie zmusić nas do powiedzenia czegoś, czego sami nie chcemy powiedzieć?”

O ile trudno zinterpretować tę nagłą nieufność, o tyle trzeba jednak odrzucić hipotezę antysemityzmu ukrywanego przed cudzoziemcem, który irytuje, o coś nas podejrzewając. Jest w tym po prostu nerwowość w obliczu błota, które po-

ruszamy i które trzeba koniecznie scharakteryzować jako zewnętrzne wobec ruchu. Ci bojownicy zarzucają nam, że szukamy dziury w całym – jak często robią ludzie Zachodu w Polsce – zamiast po prostu manifestować sympatię, której Solidarność tak bardzo potrzebuje.

Ci zradykalizowani związkowcy z Lublina nie akceptują pytań, które implícite przypinają im łatkę antysemityzmu, a ich walka – tak bardzo robotnicza i polska zarazem – w żadnym momencie nie skłania ich do pójsia drogą ślepej nienawiści. Judeofobia jest im obca, dla nich jako bojowników nie może być mowy o dawaniu jej jakiegokolwiek przestrzeni w obrębie ruchu.

Pokrętny antysemityzm?

Badania zespołu kierowanego przez socjologa [Stefana] Nowaka sugerują, że Polska sprzed epoki Solidarności postrzegana była przez samych Polaków jako społeczna pustynia⁵. Poza poziomem narodu – co często oznaczało po prostu religię – oraz sferą rodziny relacje społeczne wydawały im się sztuczne albo pozbawione sensu, a idea jakichkolwiek politycznych czy instytucjonalnych mechanizmów pośredniczących – wyżyta wszelkiego znaczenia. W takiej sytuacji antysemityzm łatwo może znaleźć sobie miejsce i stanowić pożywkę zarówno dla nacjonalizmu, który nie podejmuje żadnych działań, jak i dla totalitaryzmu, nawet w wersji osłabionej. Solidarność przysłała i – jeśli można tak powiedzieć – rozsadziła ową próżnię, ukazując istniejące społeczeństwo oraz wolę wyzwolenia go. Kiedy w obrębie Solidarności pojawia się antysemityzm, symbolizuje on porażkę tego wyzwolenieckiego ruchu. Czyż powrót do szowinistycznych i rasistowskich mrzonek nie oznacza porzucenia walki i związanych z nią nadziei? Natychmiastowym rezultatem pojawienia

się antysemityzmu wewnątrz Solidarności – czego każdy ma świadomość – jest rozkład ruchu poprzez podważenie go od środka. To dlatego słowa Jurczyka pozostały wyjątkiem; i to dlatego też nienawiść wobec Żydów jest w całości ograniczona do sfery prywatnej i pozostaje ostatecznie czymś wstydlivym. Może się zdarzyć, że zasila ona wyszukane, omowne dyskursy, których osobliwą wersję, będącą mieszanką zaprzeczenia i afirmacji, przedstawia pewien dziennikarz uczestniczący we wspomnianym wcześniej spotkaniu w Lublinie.

Ten dziennikarz wygląda niepokojąco i moi przyjaciele zgadzają się ze mną, że ma w sobie coś z „młodego przedwojennego faszysty”, co mrozi krew w żyłach. Milczący w trakcie całego spotkania, ożywia się dopiero w momencie, gdy próbujemy omówić z aktywistami kwestię żydowską, w co oni nie dają się wciągnąć. Najpierw sygnalizuje, że niektórzy spośród około 10 tysięcy oficerów zamordowanych przez Sowietów w Katyniu byli Żydami, następnie mówi o tym, że Polacy zawsze byli gościnni wobec Żydów, że przed wojną zorganizowali schronienie dla nich w Wilnie. Później jego dyskurs zaczyna dryfować i wydaje się, że ulega odwróceniu. Można – twierdzi – znieważyć Żyda, tak jak można znieważyć Rosjanina, jeśli jednak spotkamy Rosjanina, nie zabijemy go tak po prostu... Strach przed Żydem zostaje tu połączony czy utożsamiony z nienawiścią wobec Rosjan. Jest on raczej metaforyczny niż faktycznie skierowany przeciw Żydom; za pośrednictwem zawartych w dyskursie obrazów przekazuje stare antysemickie jądro, które ulega tu pewnemu zamazaniu. Dziennikarz chce rozmawiać o Żydach, którzy jego zdaniem – co właśnie zasugerował, porównując ich z Rosjanami – są przeciwnikami narodu. Przedstawia jednak dodatkowo pewien osobliwy sposób rozumowania, który umieszcza go na tej samej płaszczyź-

5. Chodzi o badania dotyczące samoidentyfikacji, postaw i wartości społeczeństwa polskiego, które Stefan Nowak (1924–1989) prowadził od lat pięćdziesiątych między innymi wśród młodzieży. Ich wyniki – na przykład wzmiankowaną tu tezę o istnieniu „próżni socjologicznej” w grupowych identyfikacjach Polaków – przedstawiał w rozprawach i artykułach zebranych wspólnie w książce *O Polsce i Polakach. Pisma rozproszone* (oprac. A. Sułek, Warszawa 2009) (przyp. tłum.).

nie, co rządowe działania związane z kampaniami antyżydowskimi w 1968 roku – tyle że kategorie zostają tu odwrócone: Żydzi są naturalnymi sprzymierzeńcami Solidarności – wyjaśnia – ponieważ są związani z Izraelem (wciąż zatem to równanie Żyd = syjonista!), a Izrael toczy walkę z sowieckim imperializmem.

Czy należy uznać, że ujawnia się tu ów pokrętny antysemityzm, oczekujący wsparcia ze strony bojowników Solidarności uczestniczących w spotkaniu? Czy ten dziennikarz nie próbuje raczej na swój niezdarny sposób wydobyć się z dyskursu nienawiści? Przypominając dobre relacje z przeszłości między Polakami a Żydami, stawiając na tym samym poziomie Żydów i Rosjan, co odsuwa na bok rasową definicję Żyda, a nawet przedstawiając Żydów jako sprzymierzeńców – za pośrednictwem Izraela – w antysowieckich zmaganiach, dołączałby tym samym do tych, którzy odrzucają pokusę antysemityzmu. Tak naprawdę opieram się tego rodzaju interpretacji albo, dokładniej mówiąc, powtarzam sobie, że dziennikarz używa rozumowań wiodących ku rasizmowi czy antysemityzmowi, aby zaprzeczyć podobnym tendencjom, które to zaprzeczenie uważam za szczere. Przestaje być wrogiem Żydów ze względów geopolitycznych czy instrumentalnych, przywołując państwo Izrael. Te same argumenty jednak w 1968 roku wspierały antyżydowską nienawiść.

Atmosfera się zagęszcza

Grupa gdańska, z którą pracowałem w czerwcu i lipcu 1981 roku, spotyka się po raz ostatni pod koniec października.

Ton rozmów nie jest optymistyczny, aktywiści się niepokoją. Największym pesymistą pozostaje Zenon. Ten członek Ruchu Młodej Polski zawsze okazuje mocne nacjonalistyczne uczucia, do których stara się mnie nakłonić, ofiarowując mi tego ostatniego dnia wspaniałego polskiego orła ze srebra. Dzisiejszy rozwój sytuacji napała go rozpaczą, a w jego przedsiębiorstwie krążą antysemickie broszury, których źródłem wydaje

mu się policja polityczna. Solidarność na pewno nie ma z nimi nic wspólnego i zwalcza je. Jednak w jego przedsiębiorstwie transportu publicznego wielu związkowców nie pozostaje obojętnych na te rozprzestrzeniające się obrzydliwości. W tym środowisku, które zawsze było „twarde”, stanowiska jeszcze bardziej się radykalizowały. Zenon obawia się, że zostanie przytłoczony tym nacjonalizmem, który jest mu obcy – szowinistycznym, ksenofobicznym i antysemickim, który łączy się dodatkowo z ostrym resentymentem robotniczym, demaskującym najpierw intelektualistów wewnątrz ruchu, a teraz także Żydów.

Grupa gdańska jest jak najdalsza od tej mieszanki robotniczego resentymentu i nacjonalizmu. Jedynie dwóch lub trzech jej uczestników reaguje na przyspieszoną polityzację ruchu, przywołując perspektywę władzy, która byłaby „prawdziwie polska”, co jest sformułowaniem dość dwuznacznym. Kiedy jednak badacze proszą o doprecyzowanie, nikt nie mówi o Żydach, wszyscy za to raz jeszcze podkreślają konieczność demokratyzacji życia w całym kraju.

Robotnicza „baza” w niektórych przypadkach – na przykład w przedsiębiorstwie Zenona – oddala się od tego, co stanowiło istotę ruchu. W sytuacji, gdy kryzysowi gospodarczemu towarzyszy blokada polityczna, toleruje zatem antysemickie dyskursy, które pozostają jednak obce światu aktywistów jako takich.

Parcie antysemickiego dyskursu staje się bardziej wyraźne piętnaście dni później, znów niejako na marginesie sytuacji badawczej. Jesteśmy teraz w Łodzi, gdzie przez tydzień animuję pracę nowej grupy działaczy Solidarności. Od początku atmosfera jest bardzo nacjonalistyczna. Główną rolę natychmiast przejmuje Kazimierz. Dla niego sytuacja gospodarcza stała się nie do zniesienia, trzeba z tym skończyć, powołać władzę silną i zdolną zaprowadzić porządek, władzę robotniczą, mocną i wykluczającą tych, którzy nie są prawdziwymi Polakami. Ta autorytarna osobowość, sprzyjająca narodowemu i robotniczemu porządkowi, powstrzymuje się w obecności

grupy od wygłaszania antysemickich stwierdzeń. Pojawiają się one za to obficie w dyskusjach bardziej prywatnych, choćby w przerwach na kawę, i przerażeni polscy badacze zdają mi z nich sprawę. Wiele razy Kazimierz chwali się, że potrafi rozpoznać Żyda na pierwszy rzut oka: nos i uszy nie kłamią.

Jego głos brzmi mocno i nikt nie ma wątpliwości, że wyraża on stanowisko coraz wyraźniej obecne wśród robotniczej „bazy” ruchu. Mimo wszystko jednak pozostaje osamotniony wewnątrz grupy, gdzie wszyscy skądinąd podzielają przekonania narodowe i, jak wskazuje jedna z działaczek, „patriotyczne”. Podobnie jak w Gdańsku dyskurs „prawdziwych Polaków”, kiedy staje się skrajny, zostaje odrzucony przez bojowników, którzy nie wyobrażają sobie Solidarności bez odniesienia do demokracji. Odwołania do konkretnej wizji władzy w wydaniu Kazimierza pozostają spójne z całością jego stanowiska: porządek poprzedza tu demokrację, jedność Polaków – pluralizm i prawo do odmienności. Jednak szeregowi działacze nie podejmują tego kryzysowego dyskursu, dla nich stanowi on zaprzeczenie całego ruchu. Antysemityzm ujawnia się w kontekście prywatnym i poza odniesieniami do działania u aktywistów, którzy – jak w przedsiębiorstwie Zenona – marzą już tylko o tym, by się od tego działania oderwać, albo – jak Kazimierz – pragną przyczynić się do powołania silnej władzy. I w jednym, i w drugim przypadku antysemityzm pozostaje zjawiskiem marginalnym. Ogromna większość bojowników widzi w nim jawne przeciwieństwo tego wszystkiego, czego zawsze pragnęła Solidarność, ruch samoograniczający się, demokratyczny i dążący do wyzwolenia społeczeństwa bez rozpętywania wojny domowej ani próby przejęcia władzy państwowej w celu narzucenia nowego porządku.

3. Ciemna strona Solidarności

Resentyment „bazy” i nacjonalizm

W listopadzie 1981 roku Solidarność już dawno wykroczyła poza swoje pierwotne cele. Nie ma już

mowy o ścisłym trzymaniu się porozumień gdańskich, nie walczy się też wyłącznie o prawo do istnienia dla wolnego związku zawodowego. Dwa żądania zdecydowanie dominują, podważając samo istnienie Partii, która od dwóch miesięcy w żalony sposób rozpada się – poza ścisłym, ograniczonym aparatem skoncentrowanym wokół grupy „twardogłowych”. Solidarność coraz mocniej domaga się organizacji wolnych wyborów na wszystkich poziomach i demokratycznego dostępu do mediów. Przewodnia rola Partii jest zagrożona i ruch zdaje się wahać między dwiema tendencjami, które coraz bardziej oddalają się od siebie. Pierwsza z nich, którą ucieleśnia Lech Wałęsa, poszukuje – coraz węższej – drogi konstruktywnych negocjacji z władzą; każda inna droga byłaby samobójstwem w oczach umiarkowanych elementów ruchu. Druga tendencja coraz mniej wierzy w możliwość wynegocjowanych rozwiązań, kusi ją też dokonanie definitywnego zerwania. Na razie te dwie tendencje jeszcze się nie rozdzieliły. Tak długo, jak siły dążące do zerwania nie zapanują nad nimi, obie mogą dostarczać ewentualnym negocjatorom ważkich argumentów. Negocjujcie – mogliby powiedzieć władzom Wałęsa i jego bliskie otoczenie, bo siły, które jeszcze na razie kanalizujemy, mogą wymknąć się spod kontroli i dokonać czegoś, czego nie będzie się dało już później naprawić.

Z pewnością to siły dążące do zerwania dokonują pracy wewnętrznej dzielenia ruchu, który jednak opiera się rozpadowi. Siły te rozwijają się na dwóch osiach. Oś pierwszą tworzy coraz twardszy resentyment robotniczy, dający się zaobserwować już na etapie pierwszego zjazdu, jak również, być może, odwrócenie niemożliwego już związkowego działania. Wiemy już, że robotniczy antyintelektualizm jest obecny w ramach ruchu, dodatkowo wzmacnia go sytuacja, w której akcja typowo związkowa ma coraz mniejszy sens. Po co zgłaszać żądania płacowe, skoro puste sklepy nie pozwalają nawet zaspokoić najbardziej podstawowych codziennych potrzeb? Po co i jak walczyć albo kwestionować istniejące stosunki pracy, sko-

ro produkcja pozostaje zablokowania z braku surowców albo części zamiennych? Akcja związkowa staje się bezsensowna i zmienia w coraz bardziej niekontrolowany ruch ludowy, zwłaszcza w marsze głodowe, jak ten w Łodzi w końcu lipca 1981 roku. Solidarności grozi utrata kontroli nad ruchem związkowym, który zmienia się w ruch robotniczy i wykształca tendencje jawnie insurekcyjne.

Drugą oś, na której rozwijają się siły dążące do zerwania, tworzą ci, którzy odrzucając samoostrzegający się charakter ruchu, nawołują bezpośrednio do akcji nacjonalistycznej, która wykracza poza ruch i przybiera postać partii czy organizacji politycznych. W tym kontekście coraz mniej jest odwołań do wolności, demokracji czy społecznego i kulturowego pluralizmu, a coraz więcej do wspólnoty, istoty czy bytu polskiego, do Narodu, tego, co jednolite, a także, niekiedy, do porządku i silnej władzy.

Te dwie osie, robotnicza i narodowa, umacniają się, odłączając się od ruchu, który dotąd je unifikował, bardzo szybko jednak łączą się ze sobą powtórnie. W istocie tendencje nakierowane na zerwanie zlewają się w jedno w populistycznej syntezie, mieszance ideologii robotniczej i nacjonalizmu, która wyraża uczucia, ale nie przekłada się na żadną zdolność działania.

Sam termin „populizm” może szokować w tym kontekście, należy go jednak zachować. Po pierwsze dlatego, że tego właśnie terminu używają polscy intelektualiści, aby określić opisywane tu tendencje, Po drugie dlatego, że wskazuje on – jak w przypadku Ameryki Łacińskiej i na mniejszą skalę w przypadku rozmaitych francuskich ruchów regionalnych – wolę połączenia akcji socjalnej i narodowej, która równie dobrze może okazać się postępową albo i nie.

Powiedzmy to jasno: to właśnie w tym populizmie wyraża się – słabo, ale jednak bez wątplenia realnie – antysemityzm, z którym zetknęliśmy się u Stanisława, Kazimierza czy Mariana Jurczyka. To antysemityzm prywatny raczej niż wojowniczy, którego funkcją jest być może zapewnienie mitycznej rekonstrukcji rozpadających się form ruchu. To

przede wszystkim antysemityzm, w którym Solidarność sama się nie pogrąża. Ograniczony charakter tego zjawiska nie powinien w żadnym razie skłaniać do pomijania go; wręcz przeciwnie – każe on postawić nowe pytania dotyczące tego, co oznacza z punktu widzenia Solidarności ów melanz ideologii robotniczej i nacjonalizmu, w którym tu i ówdzie ujawnia się skryty antysemityzm. I co oznacza, przede wszystkim, porażka owego antysemityzmu, który nigdy nie przyjmuje niepokojących rozmiarów i pozostaje zewnętrzną wobec działania.

Kryzys

Pierwsza, elementarna hipoteza sprowadza się do postrzegania antysemickich stwierdzeń wygłaszanych przez niektórych członków ruchu jako efektu jego rozkładu, wewnętrznego kryzysu, który pozostaje pod wpływem kryzysu Partii i jej ambiwalentnych zachowań. Osłabiona i opuszczona przez swoją robotniczą bazę, coraz bardziej „utwardzająca” się na pozycjach zajmowanych przez partyjny aparat, Partia jako przeciwnik Solidarności na pierwszy rzut oka właściwie nie istnieje, staje się przeciwnikiem odległym, trudno uchwytnym, opuszcza scenę publiczną, na której toczy się spory albo dyskutuje, na której walczy się bądź negocjuje. Ruch zatem napotyka naprzeciw sobie jedynie pustkę; nie może na razie dostrzec wojskowej junty i armii, które wkrótce zastąpią słabnącą Partię – w takiej straszliwej sytuacji zaczyna się radykalizować, czuje się wewnętrznie podminowany, wchodzi w fazę kryzysu i od tego momentu można już zastosować tu bez trudności klasyczne rozumowanie. Osłabiany przez brak widocznego przeciwnika, kiedy ten ostatni staje się wrogiem, i drażniony przez kryzys ruch w bardzo tylko niedoskonały sposób opiera się siłom rozkładu. Kiedy nie ma już przeciwnika realnego, poszukuje się tego mitycznego, i dostrzega się go zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz – to właśnie Żyd. W obliczu niebezpieczeństwa przekształca się w coraz silniejszą masę – by użyć języka Eliasza Canettiego – Solidarność byłaby porywana

przez fantastyczną siłę, która znajduje naprzeciw siebie jedynie społeczną pustkę, wypchana we wszechświat określany przez brak zapośredniczeń, miejsc, w których można by próbować rozwiązań dla trapiących go konfliktów. Im bardziej jej własną moc powstrzymuje jedynie pokonany przeciwnik, czerpiący swą siłę jedynie z zagrożenia sowiecką interwencją, tym bardziej niemożliwe będą podejmowane przez Solidarność próby zachowywania się jak aktor społeczny i tym bardziej grozi jej niebezpieczeństwo wewnętrznego gnicia, uwalniającego niezdrowe żywioły.

Być może to, co powstaje w takich okolicznościach i daje efekt w postaci irracjonalnych stwierdzeń, nosi znamię bezsilności i wyraża poczucie bycia ofiarą niesprawiedliwej sytuacji. Nie raduje mnie z pewnością widok kształtujących się w obrębie Solidarności antysemickich nurtów – i jeśli cierpię z tego powodu, to nie tylko ze względu na siebie czy na ogólny obraz ruchu. Także ze względu na tych kilku ludzi, którzy pozwalają czemuś takiemu się uwolnić i tworzą dyskurs słabości, niemocy, a nawet być może prześladowania. Solidarność zawsze przemawiała w kategoriach moralności i przekonań. Teraz natyka się na mur, uderza o przeszkodę, przybierającą postać pustki kontrolowanej z bardzo daleka przez Moskwę, i ta niemożność narzucenia głosu sprawiedliwości staje się niesprawiedliwością przeżywaną jako prześladowanie. Etyka napotyka własne przeciwieństwo ulega u niektórych odwróceniu, by stać się nosicielem dyskursu niesprawiedliwości, stanowiącego wyraz porażki.

Ukryta twarz Solidarności

To pierwsze wyjaśnienie nie jest jednak w pełni zadowalające, opiera się bowiem na manichejskiej wizji ruchów społecznych. Zgodnie z nią istniałyby ruchy kontestacyjne z konieczności dobre i sprawiedliwe, naprzeciw nich zaś absolutne zło albo w każdym razie siły, które miałyby monopol na negatywność. Ten potoczny obraz wynika z rozumowania wykluczającego niuanse, by nadawać faktom

jasno określone, wyraźne kategorie, które często po prostu nie działają. Trzeba w istocie uznać, że każdy ruch społeczny niesie w sobie niepokojące niekiedy, ponure i defensywne elementy, które skłaniają go dość często do samopotwierdzenia poprzez odrzucenie wszystkiego, co nie jest nim samym. Wszędzie na świecie w obrębie ruchu robotniczego istnieją i zawsze istniały tendencje do wspólnotowej obrony jakiejś istoty bądź kultury. Nadają one niekiedy ruchowi siłę, przekładają się jednak również na odrzucenie tego, co nie należy do robotniczego kolektywu. Tylko naiwna ideologia albo szczególna zła wiara mogą uzasadniać negowanie istnienia tego rodzaju tendencji, nie tylko w obrębie bazy ruchu, ale także wśród najbardziej światłych teoretyków, zwłaszcza tych najbardziej anarchizujących.

Ciemna, skryta twarz społecznego ruchu, miejsce, w którym ujawnia się jego afirmacja wspólnoty zepchniętej do defensywy, może doprowadzić go do szowinizmu, ksenofobii albo do rewanżystowskiego nacjonalizmu – jak stało się to z całymi segmentami ruchu robotniczego w 1914 roku. Ta ciemna strona staje się tym bardziej oczywista, im większe trudności przechodzi ruch. W przypadku Solidarności ukazała się ona za sprawą kryzysu ekonomicznego i politycznego na zjeździe latem 1981 roku, kiedy sytuacja uległa pogorszeniu wskutek wzrostu politycznego parcia ruchu i jednoczesnego załamania się Partii. Nie należy tu zatem oddzielać analizy kryzysu od analizy ruchu, lecz skonstatować, że ruch przedstawia się w postaci dotąd mniej uchwytnej, ponieważ kryzys dokonuje swego dzieła rozkładu. Nie ma co wybierać między dwiema twarzami jednego ruchu społecznego – obydwie bowiem istnieją jednocześnie, uzupełniając się nawzajem, i jeśli Solidarność była od początku przede wszystkim postrzegana w sposób najbardziej pozytywny, czyli przez pryzmat działania nakierowanego na demokratyczny projekt i demokratyczną wolę, to później na skutek zmiany koniunktury ukazał się zarys jej niewidocznej dotąd, ukrytej w cieniu twarzy, czyli ruchu, w którym aktor utwardza się niejako

w sobie samym, usztywnia się w swojej istocie, nie mogąc podjąć poszukiwania instytucjonalnych trybów kształtowania własnej walki. To twarz aktora coraz bardziej pozbawionego swojego działania.

Kres totalitarnego komunizmu

Takie defensywne oblicze nie jest oddzielone od oblicza drugiego, nigdy też nie widać rozpadu Solidarności na dwie części, zwolenników porozumienia i zwolenników zerwania, idących własnymi, odrębnymi już drogami. Wręcz przeciwnie, Solidarność zawsze była mocno zintegrowana, a żywioły najbardziej populistyczne stanowiły w niej zawsze siłę nacisku, pozostającą w służbie żywiołów bardziej umiarkowanych i skłonnych do negocjacji. Opierając się wewnętrznemu rozdarciu, ruch przeciwdziałał rozwojowi antysemityzmu, który pozostaje bardzo ograniczony, obcy praktyce ruchu, uobecniając się tylko w ramach jego ciemniejszego oblicza i będąc skazanym na całkowitą nieskuteczność.

Być może jednak, zdając sprawę z marginalności antysemityzmu w Solidarności, należy przywołać rzecz oczywistą, czyli niezmiernie małą liczbę Żydów mieszkających w Polsce? Przywołanie to jest niezbędne, ale nie wyjaśnia bynajmniej wszystkiego. Antysemityzm nie wymaga istnienia widocznej liczby Żydów, by móc się rozwijać. Im bardziej rasowy i biologiczny jest jego charakter, i im mniej w nim kulturowej czy narodowej nienawiści, tym bardziej dąży do wysledzenia Żyda zasymilowanego i ukrytego. W ostateczności zadowala się Żydami mitycznymi, których atakuje dyskurs będący przede wszystkim dyskursem bezsilności. Każdy w Polsce wie o żydowskim pochodzeniu kilku osobistości życia politycznego – to powinno wystarczyć i stanowić punkt centralny dla antysemityzmu, który nie rozwijałby się przy całkowitej nieobecności Żydów.

Ruch jednak ignoruje pokusę antysemityzmu niemal bez Żydów, który skądinąd po przeciwnej stronie barykady ożywia stowarzyszenie „Grunwald”. Co więcej, pozostaje odporny na próby uwodzenia, które usiłuje podejmować generał Jaruzelski po zamachu 13 grudnia 1981 roku.

Przypomnijmy sobie: pierwszej deklaracji Jaruzelskiego, buzującej mocnym nacjonalizmem, towarzyszą antysemitki i antyintelektualne ataki na wszelkich możliwych falach. Chodzi tu oczywiście o próbę rozbicia tego, co Solidarność potrafiła zjednoczyć, i o wzburzenie populistycznej bazy, skierowanie jej przeciw żydowskim intelektualistom oraz tym, których mogliby oni zmanipulować.

Próba ta, podejmowana zresztą jedynie w sposób bardzo ograniczony, kończy się porażką, która nie ma wyłącznie charakteru taktycznego. Oznacza ona wyczerpanie komunizmu w Polsce, jego absolutną niezdolność do połączenia w jedno władzy i społeczeństwa w tym, co jakże często w historii było uprzywilejowanym narzędziem totalitarnej kondensacji, czyli w nienawiści do Żydów. Jeśli Solidarność od momentu swoich narodzin w przeważającej mierze umykała antysemitkiemu pokusie, to nie tylko dlatego, że brakowało Żydów, których można by wziąć w obroty, ale dlatego, że była ruchem demokratycznej walki. Mogła i musiała szukać obszaru porozumienia z rządem, nie określiła jednak nigdy wspólnego mianownika uzasadniającego ideę jakiegokolwiek, nawet ograniczonego, harmonijnego współistnienia z nim. Epoka, kiedy Partia-Państwo mogła oprzeć się na niektórych sektorach populacji, aby przebudować kraj albo oczyścić go z Żydów, całkowicie się w Polsce skończyła, a antysemityzm nie jest już w żadnym razie ideologicznym spoiwem łączącym władzę z ludem. Marian Jurczyk jednym tchem wymieniał Żydów i komunistów – trudno sobie wyobrazić zbliżenie z tymi drugimi, by tym lepiej zwalczać pierwszych.

Antysemityzm przekształca się w antyżydowskie zachowania i aktywne kampanie tylko wtedy, gdy istnieje przestrzeń spotkania i połączenia się politycznej agitacji, koordynowanej przez zorganizowane siły – czy będzie to armia, Partia, Kościół, jakieś grupy bądź samo państwo – z ludowymi uczuciami, których nosicielami są raczej masy niż aktorzy określani przez swoje miejsce w stosunkach społecznych. Nowoczesny antysemityzm, polityczny czy też państwowy, nigdy nie rozwijał się bez udziału

łu mas ludowych, wyrażając więź między ludnością i władzą czy też działającymi grupami.

Solidarność umożliwiła większości kategorii społecznych, przede wszystkim robotnikom, a potem także chłopom, bycie aktorami własnej historii. Populizm o nieokreślonym antysemickim obliczu, który ruch bez wątpienia w sobie niesie, jest w nim mocno zakorzeniony, ale nie ma niebezpieczeństwa, że się od niego oddzieli, aby stanowić pożywkę dla czegoś, co stałoby się antyruchem, jakąś postacią narodowego socjalizmu kontrolowanego z Moskwy. Solidarnościowy populizm nie jest postępowy, ale nie jest też etapem przejściowym między ruchem a antyruchem typu faszystowskiego czy nazistowskiego. To nieszczęśliwa twarz społecznego aktora, która nie może działać, może jednak jeszcze mówić, która w znacznie większym stopniu broni się i stawia opór, niż mobilizuje kogokolwiek do realizacji jakiegoś kontrprojektu. Ten populizm jest głównie werbalny, tworzy się na sposób mityczny, rekonstruuje w wyobraźni to, czego nie jest w stanie stworzyć w rzeczywistości, a ostatecznie wynajdując sobie nierzeczywistych przeciwników. Nie daje się jednak wciągnąć w irracjonalne urojenia, które zbliżyłyby go do zwalczanej przez niego władzy i tchnęłyby nowe siły w wyczerpany komunizm.

Drugorzędny problem?

To, że sama natura Solidarności jako antytotalarnego ruchu społecznego nie pozwala jej rozpoznać się w żadnej ekspresji antysemityzmu, nie oznacza, że rozwinęła się tam postawa ofensywna nakierowana sama w sobie na zwalczanie tego ostatniego.

Oczywiście kilka przejawów takiej postawy warto zasygnalizować, zwłaszcza te, które ukazują troskę o zrehabilitowanie ofiar represji i haniebnej kampanii antysemickiej z 1968 roku. 8 marca 1981 roku wykładowcy, członkowie Solidarności, liderzy ruchu, jak również rektor Uniwersytetu Warszawskiego profesor Henryk Samsonowicz uczestniczą w ważnym spotkaniu poświęconym tej kwestii – konferencję naukową śledzi kilkaset osób, otwarta

zostaje wystawa dokumentów i fotografii na temat Marca, zawierająca artykuły i plakaty antysemickie z tamtych czasów, a 11 kwietnia 1981 roku na dziedzińcu uniwersytetu zostaje umieszczona tablica pamiątkowa – w miejscu, gdzie studenckie zgromadzenie zostało brutalnie rozpedzone trzydzieści lat wcześniej.

Solidarność interweniuje przede wszystkim w momencie, gdy przeciwnik wznosi sztandar nienawiści wobec Żydów – wtedy go potępia, jak to było w przypadku stowarzyszenia „Grunwald” w marcu 1981 roku, w rocznicę wydarzeń roku 1968. Antysemityzm stał się w tym kontekście ideologią grupy związanej z „najtwardszym” elementem Partii – i stąd grupa ta była celem w tym samym, a może nawet większym stopniu niż broń, której używała.

Oto 8 marca 1981 roku Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” organizuje wiec ku pamięci „Polskich patriotów zamordowanych i więzionych między 1948 a 1956 przez morderców skupionych wokół Bermana i Zambrowskiego: Fejgina, Różańskiego, Michnika itd.”. Antysemicki wydzźwięk nie podlega dyskusji, przytaczane nazwiska są nazwiskami znanych Żydów, a wielu mówców potępia zbrodnie „żydowskich nacjonalistów”. Jako pierwsza publicznie reaguje Solidarność. 12 marca przewodniczący regionu warszawskiego Zbigniew Bujak publikuje pełną oburzenia deklarację, po której pojawia się tekst demaskujący cele zarysowującej się antysemickiej kampanii: podzielić społeczeństwo, osłabić Solidarność.

Żądając od Polaków wnikliwości i obiektywne go stosunku do własnej historii, Solidarność bardzo wprost proponuje im, by zerwali z wyobrażeniami, które są nie tylko fałszywe, ale i niebezpieczne. [...] W swoich prasowych organach związków wielokrotnie potępiał nadużywanie problemu żydowskich stalinowców i ich roli, żądając, by przestano imputować Żydom to, co należałoby zarzucić stalinowcom, oraz by zaprzestać dawania pożywki antysemickiej nienawiści poprzez wskazywanie tego konkretnego okresu historycznego. Pogrom kielecki z 1946 roku, od momentu, gdy stał się znany, również

wzbudzał emocje i pytania, ale dopiero Solidarność jako pierwsza potrafiła w Polsce wymusić publiczną dyskusję i historyczną analizę tego, co przez lata było trupem ukrytym w szafie.

Sprzeciwiając się zatem tym, dla których nienawiść wobec Żydów stanowi narzędzie działania, i zachęcając cały kraj, by spokojnie przyjrzał się własnej niekiedy mało chwalebnej przeszłości, Solidarność angażuje się bez wątplenia w ogólną walkę z antysemityzmem. Nie przekreśla to jednak z drugiej strony wniosku o odmowie wzięcia się za bary z tym problemem, gdy pojawia się on wewnątrz samego ruchu.

Związek nigdy nie kontrolował własnej prasy. Od początku istnienia Solidarności tu i ówdzie w lokalnych biuletynach pojawiały się artykuły o antysemickim wydźwięku. To zjawisko niewielkie, ale zauważalne w kilku miastach, zwłaszcza w Lublinie czy Łodzi. Tego rodzaju praktyki, nawet jeśli miały ograniczony zasięg, powinny były zostać ostro potępione wewnątrz ruchu – tymczasem tak się nie dzieje. Podobnie sprawa Jurczyka powinna wzbudzić znacznie żywsze publiczne reakcje, a jednak Lech Wałęsa dość długo zwlekał, zanim bez ogródek jednym zdaniem wyraził opinię, że nie zgadza się, by antysemickie motywy przenikały do wnętrza ruchu. Zawsze istnieją dobre racje uzasadniające brak działania albo milczenie, a w kwestii „wewnętrznego” antysemityzmu nader łatwo jest wysuwać doskonałe wyjaśnienia mało aktywnego zachowania związku.

Dłaczego na przykład nie podkreślić – w odniesieniu do jedynej afery na skalę całego kraju, która mogła też zyskać rozgłos międzynarodowy – że nie było możliwe krytykowanie czy obwinianie Jurczyka? Ten ostatni został właśnie obarczony winą za swoje deklaracje antykomunistyczne, a uchylene takiego osądu w takich okolicznościach oznaczałoby porzucenie go albo zdradę wobec niego. Pierwsze spontaniczne wyjaśnienie braku politycznych decyzji ze strony Solidarności w kwestii własnego, „wewnętrznego” antysemityzmu odsyła do rozległości i złożoności problemów, z którymi musi stale borykać się ruch.

Czy nękana i zaczepiana ze wszystkich stron Solidarność, walcząca przeciw władzy, która zmusza ją do podejmowania cały czas wielu decyzji, funkcjonująca zarazem w kraju, w którym jest tak niewielu Żydów, nie ma prawa uważać, że kwestia żydowska jest drugorzędną troską, a być może nawet koniec końców fałszywym problemem? Twierdząca odpowiedź na to pytanie nie do końca zadowala, ponieważ bez większego wysiłku związki mogłyby w wielu sytuacjach szybciej zająć bardziej wyraziste stanowisko. Nie tylko ze względu na historyczne przyspieszenie, zmuszające do skupienia sił na innych frontach, nie przyjął zdecydowanie ofensywnej postawy wobec tych kilku śladów antysemityzmu, które ujawniały się tu i ówdzie. Także nie ze względów taktycznych czy strategicznych – z obawy, by wewnętrzne spory nie uczyniły jeszcze trudniejszym zadaniem, przed jakim stanęło jego kierownictwo, i nie kazało mu zajmować się nowymi, zbędnymi kwestiami. Przecistawiając się żelaznemu uściskowi Partii-Państwa, walcząc aktywnie z antyżydowską nienawiścią pobudzaną przez władzę, Solidarność przymyka oczy i unika zajmowania się ową nienawiścią, gdy pojawia się ona – wywołując poważne konsekwencje – w obrębie jej samej. Czy jednak w kraju z taką przeszłością historyczną można od Solidarności oczekiwać czegoś więcej poza praktyką wypierania, otaczania milczeniem antysemityzmu zredukowanego do bezsilności – i w ten sposób omijania ryzyka podziału ruchu, oderwania go od ludności lub zbliżenia z częścią władzy?

Antysemityzm w Polsce wynika z mieszanki kolejno pojawiających się znaczeń, których połączenie wciąż naznacza życie społeczne, polityczne czy kulturalne kraju, jak również życie wewnętrzne Solidarności. Nie została ona zatruta przez ten relikwyt przeszłości, ale nigdy też nie uniknęła całkowicie problemów, które antysemityzm generuje. Widać, jak bardzo ciąży tu historia całego tysiąclecia, która jednak zdecydowanie „zaśpiewała się” w trakcie ostatnich stu lat, najpierw za sprawą powstania nowoczesnego nacjonalizmu, a potem uformowania się komunistycznego reżimu.

[...]

4. Być Żydem w Solidarności

Wsluchajmy się przez moment w propagandę generała Jaruzelskiego, uprawianą od dnia zamachu 13 grudnia 1981 roku. Nie jest ona w żadnym razie oparta na fundamencie antysemityzmu i w tym sensie bardzo różna od kampanii roku 1968. Nie odrzuca jednak całkowicie klasycznego narzędzia, jakim jest nienawiść wobec Żydów.

Przed zamachem 13 grudnia tej broni używały grupy zorganizowane i najprawdopodobniej także sterowane przez najtwardsze elementy w Partii – grupy takie jak przede wszystkim Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”. Pamflety, ulotki albo malowane na murach hasła głosiły, że „Kuroń to Żyd”, albo pokazywały Bronisława Geremka telefonującego do Izraela, by odebrać rozkazy od odraźniającego rabina... Od 13 grudnia 1981 roku media rozpowszechniają tu i ówdzie informacje, które przybierają tym samym postać bardziej oficjalną, że za to, co się dzieje, winę ponoszą Żydzi.

Jeśli Polska weszła w fazę gospodarczego kryzysu w poprzednim dziesięcioleciu, stało się tak dlatego, że Edward Gierek sprzedał ją zagranicznemu kapitałowi z powodu swojego filosemityzmu albo dlatego, że jest agentem światowego spisku syjonistycznego. KOR zaś to nic innego jak centrum światowego spisku żydowskiego; Żydzi oszukali też naród polski, przekształcając Solidarność w ruch antynarodowy. Mowa jest nawet – w duchu dawnej antysemickiej tradycji oskarżania Żydów o zatrucie studni – o tajemniczym proszku, który Karol Modzelewski wrzuca do herbaty swoim przeciwnikom, by rozwiązać im języki itp.

Ilu jest tych działaczy żydowskiego pochodzenia, oskarżanych w taki sposób o zmanipulowanie Solidarności i bycie źródłem zła trapiącego Naród? Ilu jest w KOR-ze czy gdzie indziej tych animatorów ruchu politycznego, którzy od czasu *Listu otwartego do Partii* Kuronia i Modzelewskiego (1964) tworzyli demokratyczną opozycję, której działalność kulminowała w 1968 roku i została wznowiona po roku 1976, by ostatecznie roztopić się w wielkim

ruchu solidarnościowym z Sierpnia '80? I na czym polega żydowskość owych kilkudziesięciu liderów czy ekspertów, jak się ich nazywa, a także niewielkiego wycinka szeregowych działaczy? Zamiast pozyskiwać informacje, wsluchując się w to, co głosi propaganda wojskowej junty, warto zapytać bezpośrednio zainteresowanych, stawiając im najpierw pytanie o miejsce Żydów w Solidarności.

Demokratyczna walka

Stawianie tego rodzaju pytań w oczach owych zainteresowanych uchodzi po prostu za nie do przyjęcia. Z początku jest się podejrzewany o antysemityzm, wskazuje się też, że pytając w ten sposób, stawiamy się obok najbardziej reakcyjnych elementów władzy. A jeśli mimo to naciskamy, odcinając się od tych, z którymi próbuje się nas utożsamić? W takim razie nie chcemy zrozumieć, że nie chodzi tu o przyjęcie definicji żydowskości politycznego aktora, który przed nami stoi, zarówno tej pozytywnej, jak i negatywnej. Wciąż powtarzano mi to na nowo: po co opisywać tego czy innego działacza pod kątem jego żydowskości, o której nie chce on w ogóle mówić? Nie udaje się, że nie jest się Żydem, wskazuje się za to, że absurdalne jest stawianie takiego pytania; nie chce się być Żydem ani w oczach tych, dla których jest to grzech, ani tych, dla których stanowi to cnotę.

Bojownicy demokratycznej walki, których pochodzenie znają wszyscy, nie próbują oczywiście go negocjować. Czy jednak dopuszczają jakąś ideę żydowskości? Tak naprawdę jej nie chcą i mówią o niej jako o czymś anachronicznym. „Moja matka była Żydówką” – mówił mi o kobiecie, która zresztą żyje i ma się dobrze, jeden z moich przyjaciół, lider Solidarności, który, by sprawić mi przyjemność, a przy tym z wyraźnym zażenowaniem, zechciał poświęcić dziesięć minut z dziesięciu tygodni, jakie u mnie spędził, na przedyskutowanie tej kwestii. Nie jest się Żydem, jest się co najwyżej „pochodzenia żydowskiego”, a od żydowskości dystansuje się tak dalece, jak to tylko możliwe, tym bardziej, im bardziej inni próbują przykleić nam jej łatkę.

Postawa, którą tu przywołuję, ma przede wszystkim charakter polityczny. W oczach tych działaczy problem żydowski nie mógłby w żadnym momencie być uznany za centralny w kraju, w którym praktycznie nie ma Żydów. Jeśli się mimo wszystko pojawia, to nie po to, by uderzyć we wspólnotę, która właściwie przestała istnieć, ani w pojedynczych Żydów, których można „namierzyć” tu i ówdzie. Chodzi o to, by zmusić do milczenia przedstawicieli opozycji politycznej albo zdusić ich walkę o demokrację i wolność wypowiedzi. Antysemityzm nie mierzy więc w Żyda jako takiego, lecz w demokratę, intelektualistę, studenta; próbuje go zdezwauować, definiując w sposób, który sprawia, że ten przestaje być demokratą, intelektualistą czy studentem, by stać się wyłącznie Żydem.

Pisał już o tym Adam Michnik i nie ma powodu, by nie pójść jego tropem: sensem antysemickiej kampanii z marca 1968 roku nie było zaszkodzenie Żydom, miała ona „rozpalić nastroje nacjonalizmu i ksenofobii, przysłonić rzeczywiste przyczyny kryzysu społecznego, odcucić Polaków racjonalnego myślenia i uczynić ich współnikami zbrodni. Dlatego właśnie antysemityzm był tak istotnym problemem”⁶. Michnik buntuje się przeciw antysemityzmowi w imię wszystkiego tego, co reprezentuje sobą jako działacz polityczny, a nie jako Żyd; jeśli marzec ’68 przeżywał jako „pogrom”, to był to pogrom bardzo szczególnego rodzaju, „pogrom laickiej inteligencji dokonany pod sztandarem antysemityzmu”⁷, pogrom bez Żydów, przeciw któremu Michnik protestuje.

Ta ściśle polityczna analiza przypomina o roli antysemityzmu w walce przeciw demokracji. Sugerując jednak, że Żydzi istnieją tylko w oczach antysemitów, nie mówi nam ona wiele o tych, którzy stanowią cel antyżydowskich ataków, i o tym, czym w ich oczach jest owa żydowskość, którą się im przypisuje.

Laicka asymilacja

Dlaczego tak trudno jest pójść śladem podobnego rozumowania, w którym Żyd, opierając się temu, by być definiowanym jako Żyd, demaskuje antysemityzm bez Żydów, dla którego jest jednym z ulubionych celów ataku? Odpowiedź tkwi z pewnością w owym nieuniknionym braku łączności, jaki narzuca zderzenie dwóch niesprowadzalnych do siebie nawzajem definicji. W działaniach tych solidarnościowych aktywistów nie ma niczego szczególnie żydowskiego, nie chcą oni być Żydami, a jednocześnie są nimi w spojrzeniu innego, spojrzeniu, które bada ich nazwiska, ich intelektualnych antenatów, a nawet genetycznych przodków. Zarówno ich antysemicki wrogowie, jak i żydowscy czy filosemicki przyjaciele – i to na podstawie bardzo zbliżonych kryteriów – na równi zamykają ich w tożsamości, w której oni sami się nie rozpoznają.

Problemem nie jest tu dokonanie jakiegoś wyraźnego cięcia czy umożliwienie dokonania jakiegoś osądu. Problemem jest wydostanie się z objęć niemożliwego dylematu – czy oni są Żydami, czy nie? – aby zrozumieć sens asymilacji, której ludzie ci tak intensywnie pragną. Problemem mogłoby być też uchwycenie głębokiego sensu sprzeciwu ze strony niezliczonej rzeszy Żydów wobec tego, że inni dokonują asymilacji – tego zagadnienia nie chciałbym tu jednak poruszać.

Orientacja inna niż asymilacja jest dla tych Żydów trudna. Jeśli oparli się wszystkim antysemickim kampaniom, jeśli wciąż mieszkają w Polsce roku 1980 i 1981, to przede wszystkim dlatego, że są jak najdalsi od wszelkich pozycji syjonistycznych, a państwo Izrael nie jest dla nich w żadnej mierze atrakcyjne. Droga syjonizmu jest im całkowicie obca, podobnie jak bardziej nacjonalistyczna droga bundyzmu.

W Polsce mieliśmy do czynienia z pierwotną pokusą bundyzmu, którego przedstawiciele pragnęli

6. A. Michnik, *Kościół, lewica, dialog*, Warszawa 2011, s. 101.

7. *Ibidem*, s. 31.

połączyć działania motywowane klasowo, robotnicze, z żydowską specyfiką definiowaną przede wszystkim w kategoriach kulturowych. Nie ma już jednak w Polsce żydowskiej wspólnoty i pragnienie potwierdzenia związku między tożsamością kulturową czy narodową a udziałem w społecznej walce nie ma już sensu. Co zatem pozostaje? Zasadniczo wybór między dwoma typami asymilacji. Pierwszy z nich łączy w sobie – choć w nieporównanie trudniejszych warunkach – rozmaite nowoczesne postaci asymilacji laickiej. Drugi zaś, bardziej złożony, polega na przekroczeniu pierwszego – będzie o nim mowa później.

Oddalając od siebie wszelkie antysemickie ataki, ale odrzucając również filosemickie deklaracje, laicka asymilacja z punktu widzenia bojownika ruchu stanowi klasyczną formę włączania się Żydów w walkę społeczną i polityczną. Odrzuca jako drugorzędą albo nieinteresującą żydowskość aktora; uniwersalny sens społecznego bądź politycznego wyzwolenia nie powinien z jej punktu widzenia być obciążony drugorzędnymi znaczeniami, zwłaszcza jeśli przeciwnik kładzie na nie nacisk, nadając im dużą wagę.

Takie stanowisko wynika wprost z filozofii oświecenia, jest nią przeniknięte, było też powszechnie obecne w historii socjalizmu i ruchu robotniczego. Czy to po stronie reformistycznej, czy rewolucyjnej, niezliczone rzesze Żydów wybierały zerwanie ze specyfiką własnej żydowskości, aby zaangażować się w uniwersalną walkę klas.

Dziś w Polsce ta postawa wydaje się trudna do utrzymania, zwłaszcza dla Żydów, którzy biorą udział w ruchu Solidarności.

Pewne generalne przyczyny sprawiają, że ta ścieżka asymilacji jest w istocie zbyt wąska i być może nawet niemożliwa do podjęcia. W tym kraju zawsze znajdzie się ktoś, kto przypomni innym ich żydowskie pochodzenie albo, co gorsza, będzie grał motywem żydowskiego spisku. Czy owi ukryci Żydzi, działający w cieniu, nie są bardziej perfidni i bardziej niebezpieczni? Im mniej ktoś jest Żydem, tym bardziej straszliwy wydaje się w swej żydowskości...

Jednak poza tą kwestią, która ostatecznie dotyczy wszelkiej asymilacji, jest jeszcze jeden problem, który tworzy bardziej szczególną przeszkodę na drodze laicyzacji czy sekularyzacji. To przecież tą królewską drogą poszli Żydzi, którzy najpierw pragnęli komunizmu, a potem ów komunizm narzucali i budowali. Laicka asymilacja stanowiła wyznaczenie wiary żydowskich rewolucjonistów, socjalistów i komunistów, którzy potem stali się solidnymi filarami stalinowskiego porządku. Wraz z nimi oświecenie wydało owoc w postaci totalitaryzmu i represji, a droga obrona przez tych ludzi obciążona jest odtąd negatywnymi znaczeniami.

Życie Polską

Klasyczna postawa asymilacyjna nie zrywa z kulturowym modelem odziedziczonym po oświeceniu. Laicyzuje i sekularyzuje, wpisując tego, kto realizuje ją w praktyce, w uniwersalną walkę, której jedną z wersji stanowi komunizm. Wielkie wartości pozytywizmu, postępu, rozumu i nauki ożywiają ten model, który dziś wielu ocenia jako niemożliwy do zrealizowania.

Solidarność czerpie siłę i spójność z afirmacją narodu i chrześcijaństwa, a te ideały, nie mając charakteru reakcyjnego czy irracjonalnego, wyraźnie odcinają się od pozytywistycznego dyskursu Partii-Państwa. Nie ma zatem niczego zadziwiającego w konstatacji, że Żydzi aktywnie działający w Solidarności ponad laicką asymilację przedkładają przywiązanie do wartości narodowych i katolickich, które odnajdujemy w samym sercu ruchu. Ta postawa zostaje niekiedy doprowadzona do skrajnych konsekwencji w postaci religijnej konwersji na katolicyzm. Jest jednak postawą, która przede wszystkim umożliwia nie tylko integrację z kulturowym uniwersum polskości i uniknięcie wykluczenia, ale także czynne uczestnictwo w owym uniwersum czy jego współtworzenie. Nie chodzi tylko – w przypadku najbardziej zaangażowanych – o zatopienie się w kulturze ani o udział w niej, ale o życie nią, jej budowanie i wyzwalanie.

Pewne cechy Adama Michnika traktowane są często w najbardziej spolityzowanych kręgach Solidarności z ironią – podkreśla się, że jest bardziej polski od wszystkich Polaków razem wziętych. Czyż nie sypia pod portretem marszałka Piłsudskiego? Błędem byłoby przyjęcie tu interpretacji w kategoriach deficytu poczucia narodowego. Nie na miejscu jest zatem sugerowanie w odniesieniu do kogoś takiego jak Michnik, że przejawia on przesadę charakterystyczną dla wszystkich osób lękających się i odczuwających presję, by uczestniczyć w wartościach pewnej zbiorowości. Trzeba najpierw zgodzić się i wysłuchać, jak wyjaśnia (na przykład w artykule opublikowanym na łamach paryskiej „Kultury”) sens, jaki ma dla niego choćby szacunek dla postaci Piłsudskiego – jako socjalisty z początku wieku, który nigdy nie zaakceptował ksenofobii – na przekór obrazowi rozpowszechnionemu wśród polskich Żydów mieszkających dziś na Zachodzie. Trzeba też na głębszym poziomie uznać autentyczność wszystkich tych, którzy, jak Michnik, nie ukrywają swojego żydowskiego pochodzenia ani nie próbują mu zaprzeczać, uznają jednak, że tworzyć historię w dzisiejszej Polsce oznacza przyjęć zespół wartości, które nie są powiązane ani z żydowskością, ani z pozytywizmem laickiej asymilacji. Ta ostatnia dla większości Żydów, którzy stali się mniej lub bardziej katolikami, była koniecznym doświadczeniem; zanurzyli się oni w dzieciństwie, a potem we wczesnej młodości we wszechświecie fundamentalnie świeckim. Wewnętrzna ewolucja sprawiła jednak, że z niego wyszli.

Być może w tym odrzuceniu laickiego pozytywizmu należy dopatrywać się przyczyn większej swobody mówienia o żydowskości. Kiedy wejście Żydów do ruchu społecznego czy politycznego dokonywało się poprzez asymilację, żydowskość czy nawet żydowskie korzenie musiały zostać zapomniane, wyparte, a wszelkie nawiązania do nich – zakazane. Kiedy jednak wejście to oznacza przyjęcie wartości i kultury katolickiej Polski, łatwiejsze wydaje się

mówienie bez wstydu i zażenowania o własnych żydowskich korzeniach – Michnik potrafi doskonale przyjmować dla zabawy lekki akcent jidysz, a Seweryn Blumsztajn, który po zamachu 13 grudnia 1981 roku został przyjęty przez papieża Jana Pawła II wraz z delegacją Solidarności, jest znany wewnątrz ruchu jako osoba, z którą konsultuje się wszelkie sprawy związane z kwestią żydowską.

Czy ci aktywiści pochodzenia żydowskiego, oddalając się od oświeceniowego sposobu myślenia i modelu kulturowego oraz nawiązując dialog między Kościołem i lewicą, nie ożywiają w końcu XX wieku mistyki ruchu frankistowskiego z wieku XVIII? Patrząc z tej perspektywy, wyczerpanie komunizmu zbliżałoby ich do wiary chrześcijańskiej, w ruchu odwrotnym względem tego, który frankistów pchnął w objęcia katolicyzmu po to, by skończyć z obskuranckim judaizmem rabinicznym i utorować drogę oświeceniu. Porównanie jest kuszące, nie posuwajmy się w nim jednak zbyt daleko. Nie ma tu bowiem ani mistycyzmu, ani nihilizmu, ani przede wszystkim millenaryzmu właściwego mesjańskiemu ruchowi Franka; nie ma też już żydowskiej wspólnoty, której przekształcenie było jednym z celów ruchu. Są tylko indywidualne życiowe drogi, na których próbuje się zbudować Polskę, w której żydowskie korzenie niektórych pozostaną ostatnim przejawem definitywnie minionie przeszłości. [...]

Rozmowa z Sewerynem Blumsztajnem⁸

Blumsztajn jest w Solidarności jednym z nielicznych liderów, którzy nie tylko zgadzają się, by określać ich jako Żydów, ale także mówić o tym, a nawet udzielać na ten temat wywiadów. Poniższa rozmowa została przeprowadzona w Paryżu w maju 1982 roku. Jako tłumacz pomagał mi Jan Meretik (J.M.), który uczestniczył zarazem w dyskusji.

8. Seweryn Blumsztajn (ur. 1946) – polski dziennikarz, działacz opozycji antykomunistycznej w okresie PRL.

S.B.: Jak w przypadku większości moich przyjaciół, moja rodzina chciała raczej odciąć się od swojej żydowskości. Nic nas z nią nie łączyło – kultura, szkoła to była kultura polska i polska szkoła. Moja rodzina była raczej rodziną zasymilowaną, nie mieliśmy choinki, ale nie obchodziliśmy też świąt żydowskich.

Oczywiście problem istniał przez całe moje życie. Pamiętam taką rozmowę z moją przyjaciółką, autentyczną księżną. Była nauczycielką, o wiele starszą ode mnie. Rozmawialiśmy o kwestiach kultury i ona mówi: „Słuchaj, Sewek, ja się długo buntowałam, kiedy nazywano mnie księżną, ale w końcu pewnego dnia zrozumiałam, że coś w tym jest”. Wtedy właśnie zaakceptowałam swoją żydowskość – księżna mnie w pewien sposób przekonała. To było na długo przed 1968 rokiem.

Zresztą w 1968 roku w obliczu antysemitki kampanii wszyscy musieliśmy się poczuć jak Żydzi. Kiedy cię atakują na tym polu, zmuszony jesteś to zaakceptować i zamianifestować.

Polski antysemityzm jest całkowicie odcięty od realiów, zupełnie poza rzeczywistością społeczną.

Kiedy byłem w pace, wsadzili mnie razem z bardzo, bardzo młodymi przestępcami. Kiedy ktoś nie lubili, mówili: to Żyd. Wtedy mówiłem im: ale ja też jestem Żydem. Nie chcieli uwierzyć. Żyd to był jakiś obraz, rodzaj mitu. Ci młodzi nie znali żadnego Żyda. Nie wiedzieli w ogóle, kto to jest.

Mówisz konsekwentnie, że jesteś Żydem?

S.B.: Sprawę ułatwia fakt, że nazywam się Blumsztajn. Kiedy podaję nazwisko, wszystko staje się jasne. W Polsce praktycznie nie ma prawdziwych Żydów, na przykład chasydów. A przejście na katolicyzm nic by nie zmieniło dla kogoś takiego jak ja. Mógłbym dziesięć razy przyjmować chrzest i dziesięć razy się nawracać, ale wciąż nazywałbym się Blumsztajn. Nazwisko plus propaganda, plus cała atmosfera wokół... W Polsce nie ma prawdziwych Żydów, bo nie ma żydowskiej kultury. Dlatego nie ma też żadnego społecznego doświadczenia kontak-

tu z Żydami. Jest ich tak mało, że nie wyróżniają się specjalnie w społeczeństwie. Wszystko to, co przyjmuje postać antysemityzmu, jest tylko resentymentem z przeszłości.

Jak to jest być Żydem w Polsce?

S.B.: To, co najpierwotniejsze, co łączy Żydów dziś, to antysemityzm, fakt, że są odrzucani. Być może częściowo dlatego, że mają wyższe studia. Model asymilacji zakładał posyłanie dzieci na uniwersytety, żeby należały do inteligencji. Nawet w najbiedniejszych rodzinach starano się, by dzieci zostały lekarzami, adwokatami... Tym, co łączy, jest odrzucenie, bo kultury żydowskiej w Polsce już nie ma.

Czy to znaczy, że jedyną perspektywą jest asymilacja?

S.B.: Asymilacja to trudna droga. Wymaga kłamstwa. Wymaga nie tylko tego, byś ty się na nią zgodził, ale też pewnego upokorzenia związanego ze zgodą innych. Trzeba udawać, że jest się kimś innym.

J.M.: Kiedy byliśmy jeszcze w czerwonym harcerstwie, nasze dyskusje obracały się wokół dwóch tez. Jacek Kuroń mówił, że nie może być Żydów, bo nie ma już żydowskiej kultury. Inni mówili: istnieje język, była jakaś twórczość kulturalna, pisarze, poeci.

S.B.: Tamte dyskusje z młodości były absurdalne, bo byliśmy z przekonania ludźmi niereligijnymi. Nie braliśmy w ogóle pod uwagę jednego elementu, którego brakowało: religii, o której w ogóle nie rozmawialiśmy. Nasze dyskusje były czysto etnograficzne.

Jeśli ktoś jest Żydem, to bardzo trudno sprawić, by przestał nim być. To zbyt mocno wpojone, choćby z racji antysemityzmu. Język potoczny, dowcipy... Jeśli ktoś ma choć odrobinę godności, to musi otwarcie przedstawić się jako Żyd. To, czy

akceptuje własną żydowskość, czy od niej ucieka, to kwestia osobista. Jednym z kluczowych elementów programu polskiej prawicy i skrajnej prawicy zawsze był antysemityzm, a obsesją lewicy czy postępowej inteligencji było przeciwstawianie się mu, a nawet afirmacja filosemityzmu. Kiedy Jacek Kuroń siedział w więzieniu, przedstawiał się jako Żyd. Wszyscy w to uwierzyli. Wszyscy myśleli: skoro mówi, że jest Żydem, to pewnie jest... Chciał mieć przeżycie bycia Żydem, bycia Żydem w więzieniu.

Nie wiem, czy Geremek jest Żydem. Jeżeli władza tak mówi, to nim jest. To pytanie jest ważne z punktu widzenia aparatu bezpieczeństwa, który jest do głębi antysemitowski. Jeśli ktoś nie jest Żydem, to nie mówią, że nim jest, ale wystarczy, że znajdą gdzieś jakąś jego babkę... Jestem pewien, że gdyby zapytać ich, jak wyjaśnią to, że tylu Żydów było w przeszłości w aparacie represji, a dziś jest ich tam tak mało, odpowiedzieliby: to dowód na to, że dawny aparat był zły, a ten dzisiejszy jest dobry. Ideologia antysemityzmu jest jedyną rzeczą, jaka ich jednoczy.

Czy przejście na katolicyzm nie oznacza u Żydów, którzy się nawracają, odrzucenia laickości i pragnienia życia Polską, jej kulturą, jej historią?

S.B.: Żydzi tacy jak ja i kilku innych czują potrzebę posiadania korzeni kulturowych. Problem w tym, że ich nie mamy. Nasza żydowskość jest żydowskością bez korzeni, a w katolicyzmie nie zakorzenimy się bardziej. Symboliczne jest to, że nie mamy ani choinki, ani żydowskiej Paschy. To kwestia, która dotyczy mojego pokolenia.

Spotkanie z katolicyzmem nie jest spotkaniem katolików z Żydami, lecz katolików z ludźmi niereligijnymi. Jego symbolem jest książka Bohdana Cywińskiego *Rodowody niepokornych*, która próbuje pokazać, co zbliża do siebie laicką lewicę i niektóre nurty katolickie. Nie jest to zatem zbliżenie z Żydami, ale dla mnie to spotkanie z ludźmi wierzącymi było decydujące. Przez długi czas ja i inni traktowani byliśmy jak komuniści, uważano, że

wszystkie dyskusje na uczelniach były tylko sporami komunistów. Później nastąpiło to zetknięcie z wierzącymi. Książka Michnika o Kościele i lewicy była jakby odpowiedzią na książkę Cywińskiego. Ten ruch nie był tylko ruchem w jednym kierunku i katolicy ze swej strony też napotkali wartości lewicy. I nikt na tym nie stracił.

Czy w tej ewolucji pozostaje coś z żydowskości? Czy stajemy się całkowicie i ściśle katolikami, Polakami, czy może gdzieś jeszcze czujemy się Żydami, a jeśli tak, to jak?

S.B.: To są kwestie indywidualne. Ja czuję się Żydem tak samo jak Polakiem. Zaakceptowałem bycie Żydem, nie tylko dlatego, że inni mi to przypominali, albo dlatego, że nazywam się Blumsztajn. Ta pozytywna afirmacja to kwestia kultury, którą katolicy pomogli mi zrozumieć.

To dzięki nim mogłem zbliżyć się do kultury żydowskiej, o której zresztą nie wiem zbyt wiele. Nie jestem z nią szczególnie związany, to raczej coś w rodzaju sentymentu, utożsamiam się z nią, choć jej nie znam. Katolicy pozwolili mi poznać kulturę biblijną, ale ja identyfikuję się z kulturą jidysz. Wszystko, czego mogłem się nauczyć, nauczyłem się jednak po polsku.

Dla mnie kolebką żydowskości jest Europa Środkowa. Byłem ostatnio w Amsterdamie i zaskoczyło mnie jedno: to być może jedyne miejsce w Europie, gdzie Żydzi są miejscowi, a nie pochodzą z jakichś zakątków Europy Środkowej...

Czy można wyobrazić sobie paralelę z ruchem frankistowskim w XVIII wieku?

S.B.: Nie ma tu żadnego porównania. Wtedy Polska była krajem wielu kultur, mającym wiele religii. To nie był kraj antysemitowski. Istniały ogromne różnice kulturowe. Ktoś się nawracał? Po prostu zmieniał grupę społeczną... To oczywiście uproszczenie, ale w sumie: byłeś kalwinem, stajesz się katolikiem w czasie kontrreformacji, dobrze. Stajesz się po

prostu dobrym szlachcicem, takim jak wszyscy. Znaczący odsetek polskiej szlachty pochodzi z ruchu frankistowskiego.

Czy można mówić o antysemityzmie w Solidarności?

S.B.: To nic nie znaczy. Oczywiście nurty istniejące w społeczeństwie polskim istnieją także w Solidarności. Ale antysemityzm to nie jest coś, co się samo tworzy. Nie było mowy o tym, by się nim popisować. Oczywiście istniał, mogę tu opowiedzieć parę anegdot. Redakcja biuletynu Solidarności z regionu kieleckiego zdecydowała się upamiętnić pogrom z 1946 roku, przypomnieć fakty i zaprotestować. Tak zrobili: były artykuły, składanie kwiatów... W jakiś sposób przekroczyli jednak pewną granicę i to było prawdopodobnie przyczyną rozpadu redakcji. Nigdy nie powiedziano oczywiście, że taka właśnie była przyczyna, ale wszyscy uważają, że z tego powodu ta redakcja przestała istnieć.

Jeden raz użyto wprost argumentów antysemickich i była to prawdopodobnie prowokacja milicji. Chodziło o emblemat zjazdu. Ktoś powiedział, że przypomina gwiazdę Dawida, i to rzekome podobieństwo podkreślali ludzie działający w regionie związkowym w Warszawie. Po 13 grudnia 1981 roku ci ludzie okazali się współpracownikami milicji. Oczywiście wszystko to działo się na zewnątrz zjazdu. W tym ataku celem był przede wszystkim Kuroń. On nie jest Żydem, nie był też autorem emblematu, ale chodzi o to, żeby zawsze był winny!

Czy opozycja demokratyczna albo sympatycy KOR-u nie oskarżali czasem nazbyt pośpiesznie innych nurtów wewnątrz ruchu? Czy nie dostrzegali antysemityzmu tam, gdzie być może go nie było?

S.B.: Czasem blefowaliśmy, ale ten argument nie był nigdy używany w dyskusjach politycznych. Na przykład podczas zjazdu, kiedy parę osób stworzyło klub, zabawiano się, rozwijając akronim nazwy tego klubu w humorystyczny sposób, pełen odniesień

do żydowskości. Jednak w poważnych debatach nigdy nie używano tego argumentu.

Ani po jednej, ani po drugiej stronie?

S.B.: Otwarcie nie.

A nieotwarcie?

S.B.: Istniały grupy, dla których, jak można było przypuszczać, antysemityzm jest istotny. Nazywaliśmy je „prawdziwymi Polakami”. Wszyscy mieli jednak świadomość, że ten temat należy do ideologii władzy. A Solidarność była ruchem, w którym wewnątrz ludzie zachowywali się w sposób znacznie bardziej moralny niż poza.

Antysemickie uczucia są głęboko zakorzenione. Wszystko to, co można było wewnątrz ruchu odczuwać w stosunku do KOR-u – kompleksy, lęki, nadzieje – mogło się skupić wokół problemu żydowskości i antysemityzmu.

Przed wojną można było powiedzieć, tak jak mówiono w Bundzie: tworzę ruch społeczny, afirmując zarazem tożsamość żydowską. Dziś takie podejście nie ma w Polsce żadnego sensu.

S.B.: W Polsce nie można czuć się tylko Żydem. Można być Polakiem, który akceptuje swoją żydowskość albo jej nie akceptuje. Nie przystaje się do ruchu takiego jak Solidarność, patrząc na własną żydowskość, ale łątwiej jest być Żydem w Solidarności niż gdzie indziej.

Dlaczego zawsze słyszymy, że jeśli chodzi o kwestię żydowską w Solidarności, to trzeba pytać Seweryna Blumsztajna? Co wnosisz jako Żyd do tego ruchu, w jakim sensie wzbogacasz go z tego punktu widzenia?

S.B.: To dość teoretyczna kwestia. Solidarność jest ruchem, który pragnie ożywić Polskę pluralistyczną, wielonarodową. Była ta afera w Przemysłu, albo ta w Kielcach, ale to są szczególne przypadki.

W Przemysłu?

S.B.: W Przemysłu powiedziano, że trzeba zająć się żydowskim cmentarzem i zwrócić uniom ich kościół, który został przekształcony... Kwestia cmentarza została zaakceptowana przez regionalny zjazd Solidarności, ale kościół – nie. Tam wciąż jest bardzo żywy problem ukraiński, podczas gdy kwestia żydowska istniała, ale już jej nie ma.

Solidarność jest ruchem wolnym i demokratycznym i można było podjąć ten problem, zwłaszcza że próbuje się wrócić do wszystkich tradycji, które mogą wydawać się wzbogacające... Nie jestem jednak w stanie powiedzieć, czy ktoś wszedł do Solidarności jako Żyd. Wszedł po to, by po prostu uczestniczyć w ruchu.

Dla tych, którzy są Żydami, istnieją różne stopnie akceptacji własnej żydowskości. Bardzo lubię śpiewać żydowskie piosenki. Nauczył nas ich polski – nie żydowski – przyjaciel. Bywał na obozach czy koloniach Towarzystwa Kulturalnego Żydów i tam nauczył się piosenek. Ja sam nigdy tam nie jeździłem (*śmiech*).

A po co on tam jeździł?

S.B.: Po prostu tam bywał, interesowało go to. Lubilem śpiewać te piosenki, ale inni przyjaciele, Żydzi, nie lubili. Pewnego wieczora nie tak dawno temu było wielkie święto. Pojawili się na nim przedstawiciele Ruchu Młodej Polski. Ze względu na okoliczności i ponieważ sporo wypilem, śpiewałem żydowskie piosenki, tańcząc na stole. Oni byli szczęśliwi. To ludzie odwołujący się do tradycji neoendeckich, ale byli zafascynowani, to było dla nich egzotyczne i nie uważali, że to dobrze rozumiana polskość. Ale zarazem podobało im się, że pokazują swoją żydowskość. Co potwierdza, że antysemityzm jest czymś abstrakcyjnym.

Członkowie Ruchu Młodej Polski? Słyszałem, że nie byli całkiem odporni na wpływy antysemityzmu.

S.B.: Dla nich to był po prostu folklor... Prawdziwy antysemityzm napotkałem tylko w starszym pokoleniu: głęboka pogarda, ktoś cię zna jako człowieka, ale odrzuca jako Żyda, nie jest w stanie przeskoczyć tego, że jesteś Żydem. Dla ludzi z mojego pokolenia jestem tym, kim jestem. I jako taki jestem doceniany.

Zauważyłem, że ta sama osoba jako działacz ruchu może bardzo szczerze odrzucać wszelkie oznaki antysemityzmu, ale zarazem prywatnie wyraża antysemickie poglądy.

S.B.: To charakterystyczne. Dlatego właśnie kiedy Jurczyk wygłaszał antysemickie stwierdzenia, uznano, że nie jest zbyt inteligentny, ale również że odpowiada to jego głębokim przekonaniom. Jego przemowę napisał doradca, który później, jak się okazało, pracował dla milicji i krytykował Solidarność w prasie po 13 grudnia. Jurczyk i regionalny komitet Solidarności w Szczecinie przypominali chwilami komitet wojewódzki Partii.

Jak się odnajdywałeś w roli „dyżurnego Żyda” w Solidarności?

S.B.: Nie byłem „dyżurnym Żydem”, robiłem tylko za Żyda. I to bardziej przed Solidarnością niż w niej samej. To było po Marcu '68, było wtedy kilka żydowskich nazwisk, które wysuwano na pierwszy plan w antysemickiej kampanii. Jestem jedną z niewielu osób, które akceptują ten problem, ale faktem jest też, że wiele osób wyjechało. Jeżeli istniało wrażenie, że nie potępia się wystarczająco energicznie przejawów antysemityzmu w obrębie ruchu, to dlatego, że naprzeciw nas stała władza i musieliśmy działać strategicznie ze względu na jej obecność.

*Co sądzisz o grupie młodych Żydów, którzy spotykają się regularnie, począwszy od 1979 roku?*⁹

S.B.: To jest coś, co zdecydowanie wykracza poza ruch czysto żydowski. To polski ruch na rzecz poszukiwania wielonarodowych korzeni Polski pluralistycznej, Polski, w której istniało bogactwo kultur... Każdy uczciwy Polak ma kompleks na punkcie kwestii żydowskiej. Jest w tym odwołanie do Polski zróżnicowanej, pluralistycznej – przeciw wizji totalitarnej. Dla mnie to, co robi KIK, jest ważniejsze niż działania tej grupy.

Ostatnie pytanie: czy to prawda, że w trakcie dyskusji, które poprzedziły powstanie KOR-u, zdecydowano, żeby w Komitecie nie było zbyt wielu Żydów?

S.B.: To nieprawda. Jednak podobne rozumowanie pojawiało się w 1968 roku. Na przykład studenci z Wrocławia w 1968 roku zażądali od Żydów, by usunęli się ze studenckich komitetów – nie przez antysemityzm, ale by nie dawać władzy broni do ręki. To prawdopodobnie największa różnica w porównaniu z ruchem Maja '68 we Francji, gdzie mówiono „Wszyscy jesteśmy niemieckimi Żydami”.

Przełożył i opracował Michał Warchał